

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 22 IV 1973 Nr 8 (520)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Fot. CAF (Z. Jaskiewicz)



Wesołych świąt
życzy „Kamena”

Serca w remoncie

Ireneusz J. Kamiński

Państwowy Szpital Kliniczny nr 4 w Lublinie przy ul. dra Jaczewskiego. W tym oto niewielkim tunelu zatrzymuje się karetka reanimacyjna: sześć metrów od izby przyjęć, sześć metrów od windy największej w kraju, liczącej 88 łóżek, Kliniki Kardiologicznej, kierowanej przez prof. dr. Mieczysława Kędrę, który szesnastę lat temu trafił do Lublina, odchodząc ze stanowiska Naczelnego Internisty Wojska Polskiego w randze pułkownika.

PRZYWIEZIONY człowiek ma zawał — stwierdza lekarz dyżurny, kardiolog, po zbadaniu chorego w izbie przyjęć. Odczuwał bardzo silny, piekący ból w okolicy mostka, promieniujący do rąk i szyi, który trwał więcej niż piętnaście minut, a poza tym organizm jego nie reagował na podaną tabletkę nitrogliceryny — informują krewni. Wiosenna pogoda — raz zimno, raz ciepło, wietrznie — stworzyła doskonałe warunki do postawienia zawałowej kropki nad „i”, czyli do wytworzenia się skrzepu w tętnicy wieńcowej. Człowiek trafił do Oddziału Intensywnej Opieki Kardiologicznej mieszczącego się na pierwszym piętrze Kliniki; przez 24 godziny na dobę, nie licząc minut transportu, drzwi windy są otwarte, wewnątrz oświetlone — tu nieustannie panuje stan pogotowia.

Oddział ten powstał 1 czerwca 1968 r. w ramach dawnej I Kliniki Chorób Wewnętrznych, która od 1 stycznia 1971 r. weszła w skład Instytutu Chorób Wewnętrznych AM jako Klinika Kardiologiczna. Posiadając 17 łóżek i efektywny system leczenia, OIOK jest bodaj naj-

większą tego typu placówką w Europie. Przyjmuje się tu wszystkich chorych z zawałem, z podejrzeniem zawału i innymi ciężkimi schorzeniami kardiologicznymi z terenu Lublina, pięciu okolicznych powiatów, kiedy jednak zajdzie potrzeba — również z pozostałych powiatów Lubelszczyzny, a nawet z pobliskich województw. Do chwili obecnej Oddział udzielił pomocy ponad 3500 pacjentom, w tym około 1400 z zawałem serca. Dzięki tej statystyce wyprzedza wszystkie pozostałe jednostki intensywnej terapii w Polsce, mimo że niektóre z nich powstały wcześniej. Podstawą jego niewątpliwych sukcesów w walce o ludzkie zdrowie jest przede wszystkim kadra wysokokwalifikowanych lekarzy i pielęgniarek. W sumie w Klinice pracuje 23 lekarzy, w tym aż 12 ze specjalnością kardiologiczną, co na tle powszechnego braku lekarzy tej właśnie specjalności ostro podkreśla sprawę fachowości lubelskiego ośrodka. Ciągłe natężenie za mało jest pielęgniarek, Klinika posiada

Ciąg dalszy na str. 6-7, 8

URBANIŚCI TO MANIACY?

URBANIŚCI to dziwni ludzie: niby są, a niby ich nie ma. Jedni twierdzą, że to stosunkowo nieliczna grupa złożona z architektów, ekonomistów i planistów z dodatkowym zawodem — demografów, która ma fiola na temat przyszłego kształtu naszych miast. Inni są zdania, że to jakaś potężna, pół-legalna mafia, ukryta w różnych bluzach, która przeszkadza wszystkim, a głównie potencjalnym inwestorom, wymagając od nich niemal gruszek z wierzby. Ludzie przesłanki praktycznym powiadają zaś: pbi, co to za zawód, w całym województwie nie znajdziesz jednego, który w umowie miałby napisane, że jest urbanistą i że wobec tego ma takie a takie obowiązki.

Urbanistyka nie była potrzebna tak długo, póki nie zaczęły się tworzyć większe skupiska ludzi. Wyodrębniła się z architektury dopiero gdzieś przed stu laty. Towarzystwo Urbanistów Polskich powstało równo 50 lat temu i jego członkowie oraz ono samo ma za sobą piękne osiągnięcia, zwłaszcza w Warszawie. Ale problem urbanizacji, jako pochodna industrializacji kraju, nabiera coraz większej wagi dopiero po drugiej wojnie światowej. Przez pewien czas wydaje się, że planowanie przestrzenne — zwłaszcza

gdy chodzi o urbanistykę, sztukę planowania miast — stanie się wytyczną, kierunkowskazem rozwoju społeczno-gospodarczego całego kraju. Podjęto prace studialne nad planem przestrzennym dla całego kraju, do tego celu dostosowywano organizację służb planistyczno-architektonicznych.

Ale wkrótce przyszły lata, gdy o wszystkim zaczęło decydować planowanie gospodarcze. Teoretycznie obejmowało ono okresy pięcioletnie, w praktyce dwa, trzy lata, z ciągłymi poprawkami, uzupełnieniami,

zmianami, podejmowanymi często „na wczoraj”. W rezultacie plan przestrzenny, który miał wytyczać kierunek i czuwać nad prawidłowym rozwojem miast jako organizmów zapewniających zaspokojenie wszystkich potrzeb mieszkańców, stawał się zbiorem doraźnych decyzji, odpowiadających jakiemuś resortowi, zjednoczeniu czy nawet pojedynczej fabryce, jednocześnie często burząc podstawowe zasady funkcjonowania miasta jako całości.



Dokończenie na str. 2

Jerzy Dostatni

Zanosi się jednak na radykalną zmianę, chociaż zapewne trzeba będzie poczekać parę ładnych lat, aby dostrzec ją w praktyce. Już od dwóch lat Instytut Geografii PAN, koordynując pracę kilkudziesięciu placówek naukowych, opracowuje „Podstawy przestrzennego zagospodarowania kraju”. Wnioski przesłane są na bieżąco do Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, gdzie z kolei prowadzi się kompleksowe prace nad planem przestrzennego zagospodarowania kraju do roku 1990.

Podstawową koncepcją jest stwierdzenie, że plan krajowy będzie się opierał na 23 aglomeracjach miejskich, traktowanych jako główne ogniska gospodarki narodowej. Jedną z tych aglomeracji, która ma dopiero powstać, jest Lublin. A właściwie śle: Lublin w dzisiejszym i przyszłym kształcie będzie jego jądrem, natomiast sama aglomeracja sięgnie na pewno do Niemiec, może do Lubartowa, obejmie Łęczną, Milełów, Piaski, Garbów, chyba nawet Naleczów. Powołano zespół z pracowników wojewódzkiej i miejskiej pracowni urbanistycznych, współpracujący z Wojewódzką Pracownią Planów Regionalnych, który już w maju ma zakończyć pierwszą fazę roboty, co polega na skompletowaniu materiałów, potrzebnych do opracowania jakichś bardziej konkretnych wniosków. Szkielet koncepcyjny ma być gotowy we wrześniu. Dopiero potem nastąpi najbardziej żmudna i długotrwała robota: opracowanie

Dokończenie na str. 7

BABY ŚWIĄTECZNE



Rys. A. Stok

Fraszki

Leszek Pogób
-Wierzchowski

Przyczyna rozwodów

Przyczynę rozwodów —
tę najczęściej słyszę:
On poszedł na jednego,
do niej jeden przyszedł.

Jerzy Leszczyński

Nomen omen

Amor, bożek miłości
imię ma fatalne —
zaraz nam się kojarzy
z czymś, co amoralne.

Sposób

Ujmij latek kobiecie
(z tych, do których się przyzna),
zaraz powie o tobie:
ujmują cy mężczyzna.



Zmarli

● 72-letni Pablo Picasso, urodzony w Maladze (Hiszpania), najstarszy malarz współczesny. Już w 18 roku życia otrzymał wyróżnienie na wystawie w Madrycie. Niezwykle wszechstronny, reprezentujący i tworzący kolejno różne kierunki w sztuce, niezwykłe pracowitość — pozostawił po sobie kilkanaście tysięcy prac. Od 1948 roku członek Komunistycznej Partii Francji, brał m. in. udział w I Światowym Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu w 1948 roku.

Literatura

● W Czechosłowacji ukazał się w tym roku kilkadziesiąt pozycji z polskiej literatury pięknej, m. in. przekłady Brońskiego, Gałczyńskiego, Putramenta, Kosak-buczuckiej, Zeromskiego.

● Radziecki tygodnik społeczno-polityczny i literacko-artystyczny „Ogoniok” 1 kwietnia obchodził 50-lecie. Jego nakład przekracza obecnie 2 mln egz.

● 7 lipca przypada 80-lecie urodzin Włodzimierza Majakowskiego. W domu nr 3 przy Znamie Sierowa w Moskwie, gdzie poeta mieszkał i pracował, tworzone jest Muzeum Państwowe jego imienia. Dotychczas w 78 językach świata wydano 78 mln egz. książek z utworami Majakowskiego.

● W Jugosławii wydano po raz pierwszy w języku macierzyńskim „Wojnę i pokój” Lwa Tołstoja.

● Fiński pisarz Veijo Meri otrzymał nagrodę Rady Północnej, równoznaczną ze wspólną nagrodą 3 krajów skandynawskich.

Teatr

● Oto prapremiery najnowszych sztuk polskich: Teatr Współczesny we Wrocławiu — „Portret Mikołaja Kopernika” Józefa Grudy, Teatr Wybrzeża w Gdańsku — „Potępienie dr. Fausta” Jerzego S. Sity, Teatr Polski we Wrocławiu — „Sama siodła” Ireneusza Iredyńskiego, Teatr im. Mickiewicza w Częstochowie — „Mój przyjaciel minister” Jerzego Waldena, Teatr Nowy w Łodzi — „Sarkofag diabła” Jerzego Dobrzańskiego.

● W Warszawie Teatr Polski wystawił „Ucznia diabła” G. B. Shawa w reżyserii J. Rakowieckiego, a Teatr Dramatyczny „Diabełstwa” Al. Fersena w reżyserii autora.

● Kraków posiada 6 teatrów, dysponujących 8 scenami. W roku ub. teatry te dały 2100 spektakli, które obejrzało 386 tys. widzów. Największe powodzenie miały sztuki: „Hlecy” Dostojewskiego i „S-woje” Witkacego.

● Wrocławski Teatr Lalek wystawił dla dorosłych spektakl według St. L. Witkiewicza „Kława”. Będzie on także pokazany na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Eksperymentalnych w Bolonii, a ponadto w kilku innych miastach włoskich.

● Studencki teatr „Aby...” w Białymstoku wystawił adaptację powieści Brunona Jasińskiego „Palcę Paryż”.

● W przygotowaniu edytorium są dwie książki o ludzkiej teatru: „Żywy Ostryż” Józefa Szczęśliwego i „Listy miłosne Junoszy-Stepowskiego” Henryka Sztybelskiego.

● Wnuczka Aleksandra Ostrowskiego o-fiarowała Akademię Nauk ZSRR ponad 200 nieznanych dotąd listów pisarza, w których pisze on wiele o inscenizacji swoich sztuk jak i w ogóle o sytuacji teatru rosyjskiego. Listy zostaną wydane w książce.

● Z okazji 300-lecia śmierci Mollera w Londynie wystawiono „Mizantropa”. Autor adaptacji, Tony Harrison, przedstawił akcję w czasie współczesnym, przez dzieje się w siedzibie prezydenta Francji gen. de Gaulle'a.

● 73-letni dramaturg francuski Marcel Achard czeka z niecierpliwością na premierę swojej nowej sztuki pt. „Rozpusta”.

Sztuka

● Zakłady Urzędów Technicznych w Gliwicach zakończyły montaż pomnika Lenina według projektu A. Komarzewskiego. Pomnik stanie 1 maja na dziedzińcu Huty im. Lenina.

● W czerwcu i w lipcu w Elblągu, Krynicy Morskiej, Tolkmicku i Fromborku odbywać się będzie Biennale Form Przemysłowych pod hasłem „Ziemia — woda — powietrze — ogień — człowiek”.

● Oddział szczebiński ZPAP urządził stałe wystawy prac plastycznych w zakładach pracy i to nie tylko w Szczecinie, ale również w innych miastach województwa.

● Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie projektuje odwarżanie w pięknym parku fragmentów „Trendów”, co byłoby wielką atrakcją dla turystów.

● Opolszczyzna zebrała na rok bieżący zamówienia zagranicę na dzieła twórców ludowych wartości 2,5 mln zł.

● W Ottawie czynna była wystawa plakatów polskiego.

● Podczas wizyty w USA minister Kultury ZSRR Jekatierina Furcewa wzięła udział w otwarciu w Waszyngtonie wystawy „Szkary malarstwa z muzeum radzieckiego”.

● W stolicy NRD Berlinie odbyła się wystawa zachodniobermberskich artystów zrzeszonych w grupie „Czerwony goździk”.



Dokończenie na str. 1

Muzyka

● Dyrektor wiedeńskiego „Muzeum XX wieku” oświadczył, że z powodu zmniejszenia dotacji państwowych od sierpnia muzeum zawiesi działalność wystawienniczą.

● Na przełomie marca i kwietnia, w 19 rocznicę śmierci znakomitego kompozytora Tadeusza Szeligowskiego, odbyła się XIII Poznańska Wiosna Muzyczna, prezentująca polską muzykę współczesną.

● Tegoroczny, dziewiąty z kolei Festiwal Piosenki Radzieckiej odbędzie się w Zielonej Górze w dniach 11-17 czerwca.

● Barbara Hesse-Bukowska przeprowadziła w Hefsińkach mistrzowski kurs interpretacji muzyki Chopina.

● Od połowy czerwca do września w Kamieniu Pomorskim odbędzie się 15 koncertów w ramach IX Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej, z udziałem solistów z ZSRR, NRD, CSRS i NRF.

● W nakładzie miliona sztuk wydano w ZSRR płytę z nagraniami piosenek zespołu „No To Co”.

● Nowym kierownikiem New Philharmonia Orchestra w Londynie po 51-letnim Klemperera został 22-letni Włoch Riccardo Muti.

● Nowy dyrektor mediolańskiej La Scali, Paolo Grassi, zamówił u kilku kompozytorów opery i balety, w tym jedną operę dla dzieci. Zawarł także kontrakty na wyjazdy zagraniczne zespołu w przyszłym roku do Moskwy, w 1975 do Waszyngtonu, w 1976 do Londynu i Tokia.

Film

● Podpisana została dwuletnia umowa o współpracy filmowców polskich i węgierskich.

● Krzysztof Kieślowski na 30-lecie PRL realizuje film dokumentalny według noweli Jacka Majzarskiego „Murarz”.

● Reżyser radziecki Aleksander Puszki przedstawił na ekran w formie bajki dla dzieci poemat Puszkina „Ruslan i Ludmila”.

● Akira Kurosawa realizuje w Moskwie kolorowy film „Dersu Uzala” według wspomnień rosyjskiego podróżnika i badacza Dalekiego Wschodu — Włodzimierza Arseniewa.

Różne

● W nakładzie 100 tys. egz. ukazał się „Słownik poprawnej polszczyzny”, wydany przez PWN. Zawiera 27 tys. hasel. Cena 180 zł. W przyszłym roku PWN wyda wielki słownik ortograficzny, a w następnym będzie przyjmowało subskrypcje na trzytomowy słownik języka polskiego.

● Tadeusz Fijewski powiedział w wywiadzie: „Pragnęliśmy, aby nasza krytyka nie podcinała skrzydeł aktorom, zwłaszcza młodym. Kolegom życząc dobrych dyrektorów, dramaturgów, aby zamienili długopisy na gęsie pióra, którymi niegdyś pisano dobre sztuki. Teatrów — aby miały wyraźnie określone oblicze repertuarowe”.

● Rozpoczęto prace dokumentacyjne związane z planowanym generalnym, pierwszym w takim zakresie, remontem krakowskich Sukiennic. Dokumentacja będzie gotowa za dwa lata.

● Zespół trzech teatrów Narodni Divadlo w Pradze zostanie zamknięty na 3 lata, a to w związku z generalnym remontem i przebudową budynków, z których część ma już 50 lat. Remont pochłonie około 250 mln koron.

Lubliniana

● 3 kwietnia w salach ekspozycyjnych Bramy Krakowskiej w Lublinie otwarto wystawę plastyczną prac dzieci i młodzieży szkół lubelskich, tematycznie związaną z postacią i dziełami Mikołaja Kopernika. Malowidła, grafiki i plakato-rzeźby przedstawiają swoistą biografię wybitnego człowieka, osnutą w sposób frapujący na faktach historycznych, w pewnym stopniu jakby napisaną na nowo przez młodzież żyjącą w czasach lotów kosmicznych. Wystawa nie tylko dobrze świadczy o dziecięcej wyobraźni, ale również o pracy pedagogicznej nauczycieli wychowania plastycznego. Czynna do 3 czerwca, zorganizowana została przez Inspektorat Oświaty PMRN w Lublinie, Muzeum Okręgowe — Oddział Historyczny i redakcję „Kamienia”.

● Pod koniec pierwszej połowy maja odbędzie się w Lublinie Festiwal Pieśni Pokoju. Chóry UMCS, AR i KUL, przygotowują na ten festiwal utwory, związane tematycznie z rocznicą Kopernika, 50-leciem ZSRR i 30-leciem PRL.

● W ogólnopolskiej wystawie w Toruniu, poświęconej Kopernikowi i jego naukom wśród 112 autorów znalazło się czterech z Lublina: A. Koludziejek, B. Nagrodziński, J. Popek i A. Strumińska.

● Inszenizacja „Pana Jowialskiego” Al. Fredry teatr szkolny w Pszczelnej Woli rozpoczął 28 rok istnienia.

● Wojewódzki Dom Kultury przyjmując do końca kwietnia propozycje programowe na ogólnopolską giełdę programów klubów i domów kultury, która odbędzie się w Szczecinie w połowie września.

Stać nas na więcej

XIV WOJEWÓDZKA KONFERENCJA SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZA PZPR



Fot. CAF (Z. Jaskiewicz)

„Stać nas na więcej” — pod takim hasłem, będącym myślą przewodnią, obradowała 3 bm. w Lublinie XIV Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR. O jej przebiegu szczegółowo pisała prasa codzienna. Nie mniej warto zwrócić uwagę na niektóre myśli zawarte w wystąpieniach I sekretarza KW PZPR, Piotra Karpiuka, i przewodniczącego Prezydium WRN, Ryszarda Wójcika, z uwagi na fakt, że stanowią one platformę działania na najbliższe lata.

P IOTR KARPIUK wskazał, że w ostatnich dwóch latach produkcja globalna rolnictwa w naszym województwie wzrosła o 3,8 mld zł, podczas gdy za całą ubiegłą 5-letnią wznosił 5,1 mld zł. W porównaniu z grudniem 1970 r. stan państwa zakupił o blisko 42 proc. więcej mleka, o ponad 18 proc. więcej buraków, o blisko 19 proc. zboża i 35 proc. więcej mięsa. W tej sytuacji postawione przez Plenum KW zadania mówiące o wykonaniu, w przeciętnych warunkach atmosferycznych, wskaźników przewidzianych na rok 1975 już w roku 1974 — nie tylko w pełni realne, ale przy odpowiednim wysiłku mogą być nawet przekroczone.

A przecież nie uruchomiliśmy jeszcze wszystkich rezerw. Ryszard Wójcik zwrócił uwagę na takie fakty: czerwcowy spis w roku ubiegłym wykazał, że spośród 375 tysięcy gospodarstw indywidualnych ponad 55 tysięcy, a więc blisko 15 proc., nie prowadzi żadnego chowu zwierząt, 80 tysięcy gospodarstw nie ma ani jednej sztuki trzody, 77 tysięcy gospodarstw — ani jednej sztuki bydła. Najwięcej jest takich gospodarstw w grupie obszarowej do 2 ha, ale i w gospodarstwach o większych obszarach sytuacja nasuwa bardzo krytyczne wnioski. Najwięcej gospodarstw nie prowadzących hodowli jest wokół większych miast i w powiatach: tomaszowskim, krasnostawskim i radzyńskim.

Formułując wnioski wynikające z tej sytuacji przewodniczący Prez. WRN stwierdził, iż w gospodarstwach do 0,5 ha można i trzeba utrzymywać trzodę chlewną przynajmniej na swoje potrzeby, a w gospodarstwach od 0,5 do 2 ha powinno się już dawać określoną produkcję towarową. Gospodarstwa w grupach obszarowych większych nie utrzymujące żywcia prowadzą pasożytniczy tryb gospodarowania, z którym nie można się pogodzić. Muszą one podjąć produkcję korzystając z pomocy kredytowej i paszowej. Gospodarstwa nie rokujące nadziei będą przejmowane na skarb państwa, przejęta ziemia da się tym, co gwarantują lepsze jej wykorzystanie — gospodarstwom państwowym, spółdzielczym, kolektywnym, w dzielnicę grupom rolników podejmujących zespółową hodowlę, wzorowym rolnikom indywidualnym.

Zadna to satysfakcja — mówił dalej R. Wójcik — mieć najlepsze w kraju gleby, a plony niższe od przeciętnych w Polsce. Osiągnięcie przeciętności, które dotąd oznaczało nawet pewien postęp, teraz nie zaspokaja ambicji i nie wyczerpuje możliwości.

W rolnictwie olbrzymie rezerwy — jak podkreślił Piotr Karpiuk — nadal tkwią w zwiększeniu nawożenia i wapnowania gleb, w stosowaniu odpowiedniej do warunków naturalnych struktury zasiewów i nasion wysokoplennych odmian, w przestrzeganiu elementarnych zasad agrotechniki, a także w rozwoju prostych form kooperacji. Nowe możliwości stwarzają zwiększone nakłady inwestycyjne w rolnictwie, przeciwdziałanie szachownicy gruntów przy pomocy komasacji i zasadnicza zmiana struktury gospodarstw. Nie wykorzystaliśmy też możliwości w zakresie właściwego zagospodarowania rejonu Wieprz — Krzna.

Jeśli chodzi o przemysł, to — jak oświadczył I sekretarz KW — nadwyżka produkcji globalnej w stosunku do wyznaczonego planu 5-letniego na lata 1971-1972 wynosiła ok. 4 mld zł, w tym 2,4 mld zł przypada na rok 1972. O blisko 470 mln zł przekroczone zostały zadania przedsiębiorstw budowlano-montażowych, chociaż nie wszystkie środki przeznaczone na inwestycje mogły być wykonane w systemie zleceń.

Ale i tu, podobnie jak w rolnictwie, zaczęliśmy zaledwie wykorzystywać rezerwy.

R. Wójcik szczególną uwagę poświęcił problemowi najbardziej bolącemu — budownictwu mieszkaniowemu. 60 tysięcy rodzin w miastach lubelskich czeka na mieszkania. W 1971 r. oddano do użytku 3914 mieszkań, w ub. r. — 5 003, w tym roku wybudujemy 6 600, a w przyszłym już 8 tysięcy. Istnieje więc szansa przekroczenia skorygowanych już w górę wskaźników. Ale w niektórych kręgach osób odpowiedzial-

nych za budownictwo mieszkaniowe lansuje się poglądy, które są piętym z wygodnictwa obiektywizowaniem truć. Mamy zapewnienie resortów, że przydzielą środki na sfinansowanie budownictwa ponadplanowego. Ze środków wojewódzkich wydzielimy poważne kwoty na przygotowanie terenów pod budownictwo. Trzeba maksymalnie zwiększyć produkcję materiałów budowlanych, a jednocześnie rygorystycznie przestrzegać oszczędności użytkowania materiałów.

W czwartym kwartale br. da pierwszą produkcję fabryka domów w Zamościu. W przyszłym roku zaczniemy budowę dużej fabryki domów w Lublinie, czynimy starania o zlokalizowanie w województwie jeszcze jednego zakładu tego typu.

Jakie rezerwy tkwią z przemysłu Lubelszczyzny? Mówił o tym P. Karpiuk. Mamy nadal zakłady pracujące na jedną zmianę, choć ich produkcja jest bardzo potrzebna na rynku. Są zakłady, które dawno przekroczyły wszystkie możliwe terminy dojeżdża do pełnej zdolności produkcyjnej. Nie możemy być zadowoleni ze stopnia wykorzystania czasu pracy maszyn i urządzeń, z dyscypliny i organizacji pracy, z poziomu gospodarowania i rytmiki produkcji. Nie wolno nam ani na chwilę osłabiać zainteresowania rozwojem postępu technicznego, nowoczesnością produkcji i jakością wyrobów. Ciągłe trzeba pamiętać, że celem produkcji jest możliwie najpełniejsze zaspokojenie potrzeb ludności, a nie wykonanie planu niezależnie od społecznej oceny przydatności wyrobów.

Koszty wznoszonych obiektów przemysłowych, czas trwania inwestycji i okres dochodzenia zakładów nowych i modernizowanych do pełnej zdolności produkcyjnej — to główna płaszczyzna partyjnego zainteresowania na dziś i na najbliższą przyszłość w dziedzinie inwestycji, tu bowiem kryją się największe rezerwy naszej gospodarki. Praktyka pokazuje, że możliwe jest utrzymanie nawet bardzo wysokiej stopy inwestycji z korzyścią dla bieżącej konsumpcji pod warunkiem, że krótki jest okres realizacji obiektów i czas zwrotu poniesionych nakładów.

Prawidłowe wykorzystanie rezerw i umiejętności ludzi to także tworzenie coraz lepszych warunków bezpieczeństwa i higieny pracy oraz odpowiednich stosunków międzyludzkich, charakteryzujących się dużymi wymogami i sprawliwą oceną, ale i troską o człowieka, zycielwym, przyjacielskim stosunkiem do jego potrzeb i kłopotów.

Z kształtowaniem odpowiednich stosunków międzyludzkich wiąże się polityka kadrowa. Na tym odcinku — stwierdził I sekretarz KW — dokonaliśmy niemało, przede wszystkim przelaliśmy stagnację, sięgnęliśmy po ludzi nowych, posiadających wysokie kwalifikacje zawodowe i moralne, powierzyliśmy wiele stanowisk ludziom młodym, mającym ambicje wykształcenia się w pracy, nie obciążonym rutyną i wygodnictwem, stawiającym interes społeczny ponad osobiste wygody i korzyści. Stosujemy powszechnie nowe kryteria oceny kadr kierowniczych, wśród których decydujące znaczenie mają: postawa ideowo-moralna, kwalifikacje, wyniki w pracy i atmosfera w kolektywie, którym kierują ci ludzie. Kryteria te stosować będziemy nadal, wymagając jednocześnie, by każdy kierownik w zakresie swych kompetencji na czas podejmował wszystkie niezbędne decyzje, nie czekając na ingerencję z zewnątrz.

U CZESTNICY Konferencji po całodziennym dyskusji przyjęli jednogłośnie program pracy lubelskiej wojewódzkiej organizacji partyjnej na lata 1973-1974 oraz dokonali wyboru władz. Członkowie KW na swym pierwszym plenarnym posiedzeniu wybrali egzekutywę KW w składzie: I sekretarz — Piotr Karpiuk, sekretarze — Władysław Kruk, Tadeusz Mizera, Ryszard Socha, Henryk Świdorski, członkowie egzekutywy: Jerzy Andrzejewski, Henryk Czarnała, Paweł Dąbek, Romuald Jankowski, Jan Kotodziej, Danuta Lyp, Wacław Różga, Stanisław Rudki, Wiesław Skrzydło, Mieczysław Stępień, Władysław Walezykiewicz, Ryszard Wójcik.

Przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej został Stanisław Zgrzywa, a Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej — Wacław Różga.

Fot. A. Polakowski

Rodzinny koncert

Halina Chabros

CORAZ trudniej zebrać się w tym pokoju, tak dobrze znanym im z dzieciństwa. Tu ojciec w nielicznych wolnych chwilach opowiadał bajki, tu przeglądał ich zeszyty i rozmawiał o planach na przyszłość, tu czytał „Głos FSC” w nadziei, że tu czytając za młodych lat ziarno faszynacji nowoczesnym przemysłem z czasem zakiełkuje. Jak ta pestka z czasem zakiełkuje ręką Romana od sliwki, wyrzucona ręką Romana Jakubowskiego przez okno hall montażu w latach, gdy fabryka była jednym wielkim placem budowy. Dziś p. Roman pokazuje ją dzieciom z uczuciem dumy, że on właśnie przeżył z fabryką najtrudniejszy pionierski okres.

Wtedy właśnie, gdy przychodził do domu nieładnie zmęczony po 48 godzinach nieprzerwanej pracy, szukał wytchnienia w muzyce, przypominał sobie zapamiętane z Przemysłu tanie węgierskie, które lat młodości w poznańskich czapelnicy ćwiczył w szkołach podstawowej nauki i muzyki. Teraz pragnął to umiłowemu piękna, zakłętą w rozlewne tony skrzypiec, przekazać swym dzieciom. Sam uczył je grać na różnych instrumentach. Kazik szczególnie lubił gitarę i kupił ją za pierwsze zarobione pieniądze, w jego ślady poszedł Janusz. Natomiast najstarszy, Marek, rwał się do gry na flecie. Ania zaś, choć nie odziedziczyła po ojcu talentów do gry na instrumentach, wzięła po matce głos i wtórowała rodzinnemu kwartetowi. Każda zimowa niedziela, każda wolniejsza sobota, gdy dzieci nie porwał jeszcze wir studiów, zajęć zawodowych i uroków towarzyskiego życia, unywała na tych rodzinnych koncertach. Kwintet rodzinny, a właściwie sekstet, bo nie tylko Ania, ale i wyglądowno tak młodo, jakby była ich starszą siostrą, mama — pani Nela, wtórowały dźwiękom skrzypiec, gitar i fletu swymi ciepłymi, ładnie brzmiącymi głosami; czasami do zespołu dołączał kanarek — ulubieniec ojca.

Dziś, po latach, coraz trudniej zebrać wszystkich w pokoju przy ul. Buczka, który od czasu przyjazdu do Lublina był dla nich domem rodzinnym. Ania została już panią Ania i założyła własną rodzinę. A właściwie, jak mówi, nie całą rodzinę, bo nie ma jeszcze dzieci. Ale za to ma za sobą studia z ekonomiki przemysłu na UMCS, pracę dyplomową na temat prawa wynalazczego na przykładzie FSC, kurs projektowania systemów, a obecnie już drugi rok pasjonuje się pracą w ośrodku obliczeniowym FSC. To według niej współtworzenie nowoczesnych metod zarządzania przemysłem. Marek z kolei pochłonął pracę dyplomową z biofizyki i nieraz godzinami ostrażki skarży się rodzinie, że coś tam nie wychodzi z ta komórką. Przyleciał się nawet zamówić fartobliwie: Markowi młodu komórka zdechła pod wpływem nradu. A chodził po prostu o to, że bada żyjące w jednym z jezior Połeziera Feczynsko-Włodawskiego jednokomórkowce.

Kazik zaczął studia na WSI i przeszedł do pracy w dziale głównego technologa FSC, po odbyciu stażu w laboratorium, awansując na konstruktora oprzyrządowania. Pasjonuje go ta praca, jest bardziej koncepcyjna, wymaga samodzielnego myślenia, dokształcania. A podobnie jak cała rodzina Jakubowskich lubi trudne, mobilizujące zadania, bo człowiek najlepiej sprawdza się w trakcie pokonywania trudności i przeszkód.

— Taki już był zawsze — wspomina pan Roman. — Kiedy po skończeniu zasadniczej szkoły zawodowej, miał roczną przerwę w nauce i pracował jako mechanik precyzyjny, zdawało nam się, że porwą go blaski estradowego życia. Grał na gitarze w zespole „Groty” i nawet zastanawiał się, czy nie związać się na stałe z zespołem. Realizm i zdrowa ambicja wzięły jednak górę nad

pragnieniem oklasków, w czym nie miała zasługa jego matki, zwanej przez dzieci domowym głosem rozsądku. Szybko zrozumiał, że możliwość awansu zawodowego dają tylko kwalifikacje zawodowe i zapisał się do technikum FSC.

— To nie była taka łatwa decyzja — przerywa Kazik. — Ale wziąłem się i musiało się udać. Świadectwo ukończenia technikum uznałem jednak za mało satysfakcjonujące. Nie miała w tym zasługa twoja i mamy, a także inżynierów z laboratorium, a przede wszystkim naszego kierownika, inż. Zbigniewa Sadowskiego, który był dla mnie nie tylko przełożonym, ale wychowawcą i nauczycielem. Z każdym trudniejszym problemem szedłem do niego, a on tłumaczył, pomagał, interesował się sprawami szkoły. Zachęcony sukcesem w technikum, przystąpiłem do egzaminów na WSI. I tu nieźle poszło.

— Czy już teraz znajduje pan czas na prywatne życie?

— Tak, od roku mam dziewczynę. Studiuje na WSR. Bardzo miła i rozsądna, zachęca mnie do studiów.

Janusz, przedostatni z rodu Jakubowskich, jest w trzeciej klasie liceum ogólnokształcącego i wybiera się na medycynę, natomiast najmłodszy, Stasio, choć dopiero zaczął uczyć się mechaniki precyzyjnej w I klasie zasadniczej szkoły zawodowej, ma już wytyczoną przez rodziców drogę życiową: albo skończy technikum pedagogiczne, albo rozpocznie pracę w FSC.

W rodzinie Jakubowskich bowiem planuje się perspektywnie, ale zarazem realnie, uwzględniając zamiłowania i uzdolnienia dzieci, od lat kształtowane i rozwijane przez rodziców. Obowiązuje więc w tym domu nie tylko plan fabryczny, jako że aż troje z rodziny pracuje w FSC, lecz także plan domowy, którego mózgiem jest pani Nela. Pan Roman natomiast stara się hartować dzieci i przystosowywać do przeciwności, bo sam wychowywany był w trudnych warunkach.

Zaczął jako uczeń w zakładach mechanicznych i radiotechnicznych „Inwentaria” w Poznaniu. Następnie postanowił wyuczyć się zawodu ślusarza-mechanika i poszedł do fabryki pomp. Jednocześnie kończył szkołę zawodową i nie porzucał muzyki. Potem trudne lata spędzone na robotach w Niemczech, na wyspie Wolin. Budowanie szes, bunkrów, barów kolejowych w warunkach, które jednego koleśka skłoniły do samobójstwa, potem praca w warsztatach kolejowych. I coraz częstsze naloty oraz wieści, zapowiadające zbliżanie się frontu. Podczas jednego z takich nalotów uciekli w kilkunastu i dostali się na statek, który miał wieźć materiały budowlane. Uruchoмили go przy pomocy dwóch niemieckich komunistów z obsługi statku. Podpłynął do wyspy Rugii, tu jednak zepsuła się sruba. Nie czekali długo, Armia Radziecka zajęła wyspę.

Rozpoczęła się żmudna, ale radomsna droga powrotu do kraju. Zdobyli wóz i woła, który go ciągnął. Część drogi odbyli pieszo, dalej pociągami towarowymi na gapę. I znowu Poznań. Odnalazł matkę, siostrę i brata, którzy szczęśliwie ocalałi. Zaczął pracować w warsztatach naprawczych taboru kolejowego, był przecież synem kolejarza. Delegowany do Wrocławia, stał się tam jednym z pionierów, uruchamiających polski tabor kolejowy. Po miesiącu pierwszy parowóz, zmontowany z trzech wraków, ruszył w drogę.

— Ale powietrze wrocławskie nie służyło ani żonie, ani Ani — opowiada ojciec. — Lekarz kazał zmienić klimat. Postanowiliśmy przenieść się do Lublina, skąd pochodziła żona i gdzie odbył się nasz ślub. Mieszkałiśmy u szwagra, pracowałem nie w swojej specjalności — w Zakładach Mięsnych. Potem dostałem mieszkanie. Pomogła mi edzraku Ministerstwa Kolei, przy-

znana za założenie pierwszego we Wrocławiu Klubu Techniki i Racjonalizacji. W tym czasie FSC poszukiwała fachowców. Był rok 1953. Dokola dzisiejszych hal szumiało zboże, cały teren fabryczny był wielkim placem budowy. Jedną, jeszcze przedwojenną halą i kotłownią — to były załóżki FSC. Złośliwi nazywali FSC fabryką kurzu i błota. Duża fluktuacja kadr, niewielu bowiem wytrzymało te trudy i wjeżyło, że z czasem powstanie tu fabryka z prawdziwego zdarzenia. Pracowałem w kontroli technicznej przy remoncie kotłów, obrabiarek, suwnie, manometrów i twardościomierzy.

W tych czasach wszystko nas cieszyło. Każda nowa maszyna, każda nowa hala. Byliśmy wszyscy tak zgrani i pełni zapału, inżyniera nie można było odróżnić od robotnika, wszyscy chodziliśmy w kufajkach i wierzyliśmy, że tworzymy dużą, potrzebną fabrykę.

Pamiętam drugą połowę lat pięćdziesiątych. Była fabryczna gazeta, była rada robotnicza, rada zakładowa. Ale nie dawaliśmy jeszcze krajowi zysków, nie produkowaliśmy samochodu, który odpowiadałby wymogom rozwijającego się transportu. Bo nasze poczciwe „Lublinki”, które z taką radością zaczęliśmy montować przy współpracy ze specjalistami radzieckimi, okazującymi nam pomoc na każdym kroku, już zaczynały być za mało nowoczesne. Wtedy narodził się „Zuk”. Rodził się opornie, w bólach, niełatwo było zarazić nasze władze przeświadczeniem, że potrafimy zrobić porządną samochód, ale przecież się narodził. I do dziś wszyscy wspomniemy zdjęcie, zrobione w dniu, kiedy halę montażu opuszczał 250 „Zuk”. Ówczesny dyrektor Kwiatkowski trzyma w dłoni doniczkę z kaktusem, bo ktoś w zjednoczeniu powiedział, że przedzie mu kaktus wyrośnie na dłoni, niż FSC uruchomi produkcję „Zuka”.

To był, oczywiście, dopiero początek początków. Jeszcze ciągle były kłopoty z realizacją planów, brakowało urządzeń, materiałów, fabryka jeszcze nie okrzepła, nie była zakładem liczącym się w przemysle motoryzacyjnym. Nowy etap zaczął się w 1962 roku, kiedy dyrekcję

objął Gustaw Krupa, który postawił na dobrą organizację, fachowe kadry i postępowe techniczne.

Długo jeszcze pan Roman mógłby opowiadać o FSC. Wskazywałby jednak rozmaite na jego zainteresowania poza produkcją, a właściwie wiążące się niejednokrotnie z fabryką, ale mające również duże znaczenie społeczne. A więc jak tak rzadko człowiek może znaleźć czas, by być sekretarzem Klubu Racjonalizacji i Techniki (który, nawiasem mówiąc, organizował w FSC), społecznym sekretarzem rady robotniczej, pracować w radzie oddziałowej i przy tym wszystkim służyć 28 projektów racjonalizatorskich, z których jeden, dotyczący wykorzystania wody w c.o., daje rocznie ok. 14 mln zł oszczędności. Jakby tych obowiązków było mało, działa jeszcze w Komitecie FIN dzielnicy Stare Miasto i w Komitecie blokowym, pisze artykuły do „Głosu FSC”, a także wyklada prawo wynalazcze w szkole przyzakładowej.

— Może to istotnie nadmiar zajęć i obowiązków społecznych — zgadza się z mną pan Roman: — ale to już takie społecznikowskie zadanie, które po mnie odziedziczyły wszystkie dzieci. Każde z nich działa w jakiejś organizacji. A ja bez tych zajęć byłbym człowiekiem nieszczęśliwym. Staram się tylko dobrze spędzić urlop i w każdej niedziele jadę na grzyby, nad jeziora, albo pracuję w moim ogródku. Czasami polecę się w sanatorium, a przed kilku laty otrzymałem w nagrodę z CRZZ wyjazd do Rumunii, z którego bardzo się cieszyłem. Uwielbiam też wędrowki krajoznawcze motorowerem, wygranym na książeczkę PKO.

— Tatuś tego motoroweru nikomu z nas nie daje — mówi Kazik.

— Ale my i tak wolimy wędrować pieszo. Ojciec rozbudził w nas umiłowanie przyrody i krajobrazu, a więc każde z nas daży latem w góry — w Bieszczady, Pieniny, Tatry. Z kolegami ze studiów, ze znajomymi, z naszymi dziewczynami. W czasie wędrowek można wypieścić się i wygrać przy ognisku. Potem dzielimy się wrażeniami. Bo już jesteśmy taką zżyłą rodziną. Chociaż coraz mniej czasu znajdujemy ostatnio dla siebie, bardzo się kochamy. Wszyscy wiemy, co zawdzięczamy rodzicom, jesteśmy dumni z ojca i matki, na całe życie pozostaną nam w pamięci otrzymane w domu rady. Z czasem przekażemy je własnym dzieciom.



P. Roman Jakubowski, mistrz FSC (z prawej) z dziećmi pracującymi w FSC — p. Anią i p. Kazimierzem. Fot. J. Trembecki

Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski

Osiemnastoletniej

Yodze Lakomy

Być Twoim Przyjacielem
nie potrafię — zbyt wiele
kształtów światła
których nie znasz jeszcze
nie ma już dla mnie żadnego znaczenia
zbyt wiele krajobrazów
które poznać pragniesz
to krajobrazy przeze mnie doznane
zbyt wiele słów
i związków pomiędzy słowami
w które wierzyłeś jeszcze
którym chcesz zaufać
to dla mnie zaledwie fragmenty
nieistnienia
zbyt wiele związków pomiędzy ludźmi
których formę uznajesz
nie znając ich treści
to związki chwilowe
a nawet pozorne
zbyt wiele ludzi obok Ciebie przedzie

a dla mnie to na pewno będą tylko luki
w przestrzeni
Być Twoim Przyjacielem
nie mogę — zbyt wiele
porywistych wiatrów za moimi oknami
przebiegło
traktując moją wyobraźnię
o Tobie
zanim dojrzałem
źródło tych wiatrów
na dnie Twoich źrenic
Być Twoim Przyjacielem
nie umiem być może
przeglądając się w źródle owych wiatrów
dzisiaj
przewidując na jutro
wicher wewnątrz domu
lecz spróbuj swoją własną Przyjaciółką
stać się
a z nią się zaprzyjaźnić
mnie samemu
pomóż

Waldemar Dras

przyłulić do siebie
garść powietrza
spróbować unieść się
paczuć
to
na
królewskim tronie
coś ciekawego
strącić
ze śmiechem
przypadkowych wierzycieli
obdarować
berłami
otworzyć ręce
puścić palce samego
siebie
To byłaby pierwsza
próba
na wytrzymałość
puchu
i
wtedy zdjąć
koronę

Krzysztof Ostaszewski

Żeby zabrać ból

Wiem, jestem już ze świata spoza lampy.
Mam swoje jutro, swoją jabłoń.
Wiem, nie mogę tak zwracając podać ci
kwiatu, jabłka, słowa.
Nie rozumiesz mojej wiosny, jabłoni, księgi.
W twoim drzewie kryje się noc.
Gruzy krzyku oddzieliły w martwym kręgu lampy.
Oszalałe niemowlę bólu ciszą wzrosło
w oczy, rzęsy.
Przez piętnaście lat byłeś przykuty do swojego łóżka.
Co mam powiedzieć?
— Człowieku, Bóg jest dobry?
Ty już musisz mieć swojego Boga,
Chodzę wokół, przystaję. Jak bym chciał złożyć na powrót
każde rozdwojone słowo, rozczepione znaczenie.
Kto ci zabrał jutro i kto zabierze ból?

W RAMACH Roku Kopernikowskiego Biblioteka UMCS urządziła wystawę pt. „Kopernik 1473–1973”. W związku z tym warto zaprezentować pozycje księgozbioru dzieł astronomicznych i astrologicznych w XV–XVIII, posiadanych przez Bibliotekę, które w swoim czasie przyczyniły się szczególnie do rozpowszechnienia heliocentryzmu.

Pierwsza — to dzieło samego Kopernika w trzecim, amsterdamskim wydaniu z r. 1617, które wyszło pt. „Astronomia instaurata”. Wstęp i biografie naszego astronoma napisał Holender, Mikolaj Mulierus (1564–1630), autor pracy pt. „Tablice fryzyskie księżyce i słoneczne poczwórne, podług Ptolemeusza, króla Alfonsa, Mikolaja Kopernika i Tychona Brahe”. (Amsterdam 1611).

Jest rzeczą charakterystyczną, że wydanie to ukazało się rok po pierwszym dekreście Kongregacji Kardynałów, potępiających założenia teorii heliocentrycznej. Sprawa wygląda o tyle interesująco, że na początku, jeszcze w XVI w., jedynie czołowi przedstawiciele protestantyzmu, Luter i Melancton, wypowiedzieli się zdecydowanie przeciw Kopernikowi. Znalazło to odzwierciedlenie w działalności astronomów niemieckich doby reformacji, którzy powielali w swych wykładach na uniwersytetach i ogłaszanych pracach poglądy Ptolemeusza, jego arabskich komentatorów Albatagniusa, Alfragana i innych, oraz polecali studentom jako obowiązujący słynny podręcznik astronomii średniowiecznej „O sferze” Jana de Sacrobosco (właściwie Johna de Hollywood), Anglika żyjącego w XIII wieku. Tutaj ciekawostka. W naszym księgozbiorze wśród 23 egzemplarzy tego dzieła mamy jeden drukowany w r. 1499. To samo wydanie miał Kopernik w swej bibliotece.

Wracając do interesującej nas problematyki recepcji dzieła Kopernika w Niemczech, można powiedzieć, że początkowo nie przyjmowano jego zasad, wykorzystywano jedynie obliczenia do układania tablic astronomicznych. Erazm Reinhold sporządził, wzorując się na nim, swe słynne „Tablice pruskie” (u nas 1551 r. oraz późniejsze), będące następnie podstawą kalendarza gregoriańskiego. Powiedział przy tym w przedmowie parę ciepłych słów o Koperniku. Jego b. popularne dzieło przyczyniło się mimo woli do szerokiego rozpowszechnienia nazwiska naszego astronoma. Także autor przedmowy do tzw. „palatyńskiego” wydania dzieła słynnego Retyka o trójkątach z r. 1596, wyrażał się z największym uznaniem o Koperniku, nazywając go „cudem naszego wieku”.

Wśród uczonych niemieckich dopiero J. Kepler na początku XVII wieku zrobił zdecydowany wyłom, ulepsząc system heliocentryczny przez odkrycie praw obrotu planet. Jest u nas jego praca pt. „Streszczenie astronomii kopernikowskiej” (Linz 1618), gdzie — opierając się na Koperniku — wyłożył swoją odmienną nieco teorię świata.

Natomiast we Włoszech, w kręgu silnego oddziaływania kościoła katolickiego, do teorii heliocentrycznej odnoszono się niekiedy życzliwie. Oto dzieło pt. „Efemerydy...” (Wenecja 1564). Autor, Giuseppe Moletti, tak pi-

sze: „Najuczestszemu bowiem mężowi, M. Kopernikowi, ogół studiujących nauki matematyczne toinien jest największą wdzięczność, gdyż przy użyciu zadziwiających dowodów ukazał zjawiska, którymi podjął się także nauce astronomii przywrócić pierwotną prawdę.”

Później rewolucyjne wystąpienia Giordano Bruno wpłynęły na generalną zmianę stosunku do Kopernika, co odczuł na sobie nie tylko Bruno, ale i Galileusz. Na długie lata znikło dzieło tego ostatniego, w którym w sposób urzekający przedstawił słuszność założeń heliocentryzmu. W naszym księgozbiorze znajduje się kilka wydań jego „Dialogu o dwóch największych systemach świata”, drukowanego w XVII wieku w Lejdzie.

Jak widać, niezależna, bogata, kalwińska Holandia mogła sobie bez przeszkód pozwolić na publikowanie ksiąg tak bardzo wówczas kontrowersyjnych. W tym kraju działali już w I połowie XVII w. uczeni, którzy zdecydowanie popierali rozprzestrzenianie się teorii heliocentrycznej. Jeden z nich, Filip Lansberg, autor „Tablic ruchów niebieskich” (1632), tak pisze: Mikolaj Kopernik... *mał wielkiego umysłu, prawie równy Ptolemeuszowi, rozpoczął tworzenie nowej astronomii na podstawie obserwacji z wszystkich czasów i takową po wieloletniej usilnej pracy i wydaniu swej wymienionej książki „O obrotach ciał niebieskich” szczęśliwie ukończył.* Lansberg naraził się swą wypowiedzią i dziełami na złośliwe napaści ze strony przeciwników Kopernika. Świadectwem tego jest książka Libertusa Fromonda pt. „Vesta czyli obroty Ant-Arystarcha...”. (Antwerpia 1634). Zawiera ona dekryty z lat 1616 i 1633 przeciwko Kopernikowi i jego teorii. W obronie Lansberga wystąpił W. Blaeuw, znakomity drukarz amsterdamski i zamieszany astronom. Tak się składa, że w naszych zbiorach mamy szereg wydań dzieł tych dwóch mniej znanych, a jakże dla nas sympatycznych uczonych.

Tu warto również podkreślić, że W. Blaeuw, podobnie jak J. Kepler, był uczniem wielkiego astronoma duńskiego, Tychona Brahe. Dzieło tego wielkiego przeciwnika naszego rodaka pt. „Wstępne obserwacje dotyczące nowej astronomii” Biblioteka posiada w kilku wydaniach, najstarsze z r. 1602. Brahe podkreśla w nim erudycję i pracowitość Kopernika, ale podaje własną teorię budowy wszechświata, nawracającą w pewnej mierze do spekulacji Ptolemeusza. Jednakże Brahe swą praktyczną działalnością, sporządzeniem udoskonalonych przyrządów astronomicznych, wnikliwymi obserwacjami i obliczeniami mimo woli ugruntował rozwój teorii heliocentrycznej.

We Francji z różnych względów długo utrzymywała się nieufność do heliocentryzmu. W r. 1635 potępił go słynny uniwersytet paryski, Sorbona. Ale oto 9 lat później ukazuje się małe dziełko pt. „Arystarcha z Samos o systemie świata” (Paryż 1644). Wydał je profesor G. Personne de Roberval, późniejszy członek założonej w r. 1666 Królewskiej Akademii Nauk. We wstępie tak pisze: *Z trzech wymienionych systemów (Ptolemeusza, Arystarcha i Tychona Brahe) za-*

najprostszym i najbardziej zbliżonym z prawami natury uważam system Arystarcha... Piotr Gasendi, autor znajdującego się w Bibliotece dzieła pt. „O hipotezach dawniejszych, Kopernika i Tychona Brahe” (Londyn 1653) nie ośmielił się wystąpić jako zwolennik Kopernika, lecz w innej pracy podał m.in. jego biografie. Wielki Kartezjusz w Amsterdamie u Elzewira drukował „Zasady filozofii” (jest wydanie z roku 1650), gdzie wyłożył własną teorię korpuskularną czyli cząsteczkową budowy świata, która to praca przez podkreślenie ruchu we wszechświecie umacniała teorię Kopernika.

Kapitałne były obserwacje astronomiczne pochodzące ze świeżo założonego obserwatorium w Paryżu, opisane w „Dzieliach...” członków Królewskiej Akademii Nauk w Paryżu. Prace, znajdujące się w Bibliotece, pochodzą z lat 1679–1693. Obejmują one obserwacje najwybitniejszych astronomów francuskich. Jest też w księgozbiorze popularne dziełko astronomiczne Fontenelle’a pt. „Rozmowy o wielości światów” (po 1686 r.) z międzyrytem, wyobrażającym układ słoneczny według Kopernika.

W Anglii, posiadającej racjonalistyczne tradycje filozoficzne, teorię kopernikowską przyjęto życzliwie. Nie posiadamy dzieł jej pierwszego najwybitniejszego propagatora, Digges’a, lecz znajdują się

pochodzące już z wieku XVIII opracowania książki I. Newton’a, genialnego konstytutora dzieła naszego mistrza. Newton wyłożył ruchy planet prawem ciążenia powszechnego i był twórcą mechanistycznej teorii budowy świata. A oto XVIII-wieczne wydanie wielkiej pracy pt. „Brytyjska historia nieba”, której autor J. Flamsteed (1646–1719), był założycielem i pierwszym dyrektorem Obserwatorium w Greenwich oraz współpracownikiem Newton’a. Natomiast w r. 1688 wyszła praca innego Anglika, P. Vernantisa, który dowodził, że dzieło Kopernika nie jest sprzeczne z Biblią i wreszcie główne dzieło genialnego samowka, F. W. Herschel’a, odkrywcy planety Uran i twórcy astronomii gwiazdnej: „O budowie świata” (Królewice 1791).

Jak wygląda w Polsce recepcja heliocentryzmu w świetle zasobów starych druków? Są to przede wszystkim prace gdańszczanina, J. Heweliusza (7 pozycji), jednego z najwybitniejszych astronomów europejskich XVII w., założyciela obserwatorium w Gdańsku, wnuków obserwatora Księżyca i planet. Dzieła swe ozdabiał Heweliusz przez siebie wykonanymi międzyrytami, a niektóre drukował we własnej drukarni. I tu wraca raz jeszcze nazwisko Tychona Brahe. Heweliusz był uczniem P. Krügera, autora znajdujących się w Bibliotece roczników kalendarzy gdańskich. Krüger zaś — to uczeń wielkiego Duńczyka.

Wśród wielu prac uczonych mełw znajdujemy w Bibliotece książkę niezwykłą nie tylko jak na owe czasy. „Urania propitia...” (Urania taskawa, czyli tablice astronomiczne), drukowana w Olesnicy w r. 1639 jest dziełem kobiety, Marii Cuntii (zm. 1644), prawdopodobnie polskiego pochodzenia, wszechstronnie uzdolnionej, znającej m. in. język polski. Swe obserwacje i wyliczenia oparła podobnie jak Heweliusz, na zdobyczach Kopernika i Keplera.

Symboliem zmagania największych idei astronomicznych są postacie ich twórców, ukazujące się na ozdobnych kartach tytułowych i ilustracjach ksiąg, prezentowanych krytycznikowi. Oto dzieło J. Purbacha, profesora uniwersytetu wiedeńskiego, pt. „Nowe teorie dotyczące planet” (1515 r.). Napisane w duchu Ptolemeusza, posiada piękny, calostronowy drzeworyt, na którym dominującą postacią jest Ptolemeusz z średniowiecznym modelem układu słonecznego, czyli sterą armillarną. Obok znajduje się „postać” astrologii.

Ciekawa jest karta tytułowa wymienionej już książki Lansberga. Piękny międzyrytowy frontispis przedstawia najświetniejszych astronomów, a wśród nich przede wszystkim Ptolemeusza, Kopernika i Tychona Brahe. U dołu ilustracji słowa „Hinc omnia lustrat”, (co oznaczać może bądź: „stąd wszystko obserwuje”, bądź przenośnie „od tego czasu wędruje po kole”); tłumacząc wizerunek Słońca w środku orbity, po której krąży Ziemia.

Dzieło Galileusza z r. 1641 ozdobione jest frontispisem, na którym stoją Ptolemeusz i Kopernik, każdy z symbolem swej koncepcji budowy świata, w towarzystwie również stojącego Arystotelesa. W wydaniu z r. 1700 obok portretu autora, na tytułowej ilustracji są te same postacie, jedynie Arystoteles siedzi. Zabawna karta tytułowa astrologicznej pracy Anglika Hartgilla z r. 1656 przedstawia autora oraz Kopernika w stroju siedemnastowiecznym z lupą w dłoni (jak wiadomo lupę wynalazł dopiero Galileusz).

Na koniec warto wspomnieć o kalendarzach, tych najpopularniejszych dziełach astronomicznych i astrologicznych, niejednokrotnie jedynej lekturze naszych przodków. Jest ich dużo, polskich i obcych. Ozdobne karty tytułowe wielu z nich przedstawiają herby miast, zajęcia ludności, ilustrują wydarzenia historyczne. Piękne są kalendarze gdańskie, jak np. ten z r. 1772 z orłem polskim i widokiem miasta.

Wizja łącząca dawne i nowe czasy jest ilustracja do książki „Cometologia” z r. 1665, na której kometa z długim ogonem jakby unosi się z powierzchni Ziemi. Przypomina ona do złudzenia pojazdy międzyplanetarne, startujące w gwiazdnej podróz.



Ciekawa jest karta tytułowa książki Lansberga...

K OŁO tego grobu na cmentarzu przy ul. Lipowej przechodziłem dziesiątki razy. Dziwne grobowiec. Nie zdołają go żadne motywy religijne, tylko potężna kamienna płyta, na której bokach wryto napis: NACIO MATURA TIO ABELLOJ EL KIUV VIVAS LABORAS KAJ EC PEREIGAS POR CIUJ (FRYDRO). Na samym wierzchołku płyty wryto jeszcze: GROB RODZINY FRYDRO NIECH TA ZIEMIA KOCHANĄ TA ZIEMIA RODZINNA PADNIE NA MOJE PIERSI! A niżej: PROSZĘ O 5 FUR ZIEMI NA KAŻDE CIAŁO. I pewnego dnia przyszła mi ochota, żeby wkrzeseć dzieje człowieka, który spoczywa w tym dziwnym grobowcu.

Przede wszystkim — odnaleźć kogós z rodziny! Ale w rejestrach lubelskiego Biura Ewidencji Ludności i Centralnego Biura Adresowego w Warszawie nazwisko Frydro nie figuruje. I wyglądało na to, że tutaj trop się urywa, bo i skorowidz zmarłych Dozoru Cmentarza w Lublinie również takiego nazwiska nie notuje. Więc grób jest, a człowieka nie było?

Nikdy ślad stwarzał napis w obcym języku, jak się domyślałem — w języku esperanto. Zaczęłem się na ślepo rospyttywać wśród lubelskich esperantystów, aż trafiłem na Eugeniusza Majewskiego. I on to opowiedział mi wiele rzeczy. Ze na przykład Kazimierz Andrzej Jaworski posiada unikalny egzemplarz pierwszego wydania w Polsce w roku 1871 podręcznika esperanto pt. „Język międzynarodowy, przedmowa i podręcznik kompletny (por. Poloj)”, cena kopiełek 15, a autorem jego jest Zamenhof, ukrywający się pod pseudonimem „Dr Esperanto”, co znaczy: Mający nadzieję. Ze napis na grobowcu oznaczał: „Naród dotrząty to

pszczoły, z których każda żyje, pracuje i ginie dla wszystkich”. Pokazał mi też słownik esperantski, wydany w Warszawie w 1919 roku, a ostemplowany nazwiskiem Frydro. A przede wszystkim poinformował, że żyje podobno syn Frydry, mieszkający przy ul. Narutowicza 13!

Lecz pod tym adresem nikogo o takim nazwisku nie znalazłem. Dopiero potem się okazało, że syn Frydry tutaj mieszka, tylko nosi inne nazwisko — Adam Piechowski. I wtedy sprawa ruszyła z miejsca.

— Nasza rodzina bardzo stara, dziad-pradziad nazywał się Frydrychs i był nadwornym lekarzem królewskim w Dreźnie. I niech pan sobie wyobrazi, że z jednym z Sasów przyjechał do Warszawy jako lekarz, i stąd ta cała rodzina nasza właśnie w Polsce.

— Ale to była rodzina niemiecka? — Była rodzina niemiecka, ale ona się absolutnie spolszczyła później, bo to się wszystko pożyło z Polakami, przeszło na katolicyzm. A potem oni się przetrucili na handel i to była znana rodzina kupiecka w Warszawie. Ojciec sobie kupił posiadłość ziemską na Sławnie, wie pan, pod Lublinem, i tak znaleźliśmy się w tym mieście.

— A ojciec kim był z zawodu? — Rolnikiem, ukończył akademię rolniczą w Królewcu swego czasu, tak że znany był agronom pierwszorzędny, dużo pisał, mieliśmy te rzeczy, ale wszystko poginęło, i wiele innych pamięątek, kiedy w czasie ostatniej wojny bomba uderzyła w tę kamienicę i pół kamienicy uciąga, dosłownie uciąga, kilkanaście osób wtedy zginęło, myśmy się uratowali, bo przebywaliśmy wtedy w drewnianku na Sławnie. Stare czasy, słabo pamiętam, bo człowiek ma już te 86 lat, tak... — Ojciec kiedy się urodził? — W 1839 roku, a zmarł w 1918... Ten majątek na Sławnie to ojciec

sprowadził i wybudował tę ogromną kamienicę, jak się idzie ulicą Króla Leszczyńskiego w dół, teraz tam jest jakaś szkoła rolnicza.

— Collegium Horticulturae Wyższej Szkoły Rolniczej.

— Możliwe. Ale ta kamienica źle szła i ja ojciec też sprzedał jakiegoś towarzystwu rolniczemu, a przeprowadził się na Narutowicza, właśnie do tej kamienicy swego

akończyło, to oni uciekli wszyscy do Galicji, bo tu w Lublinie była gubernia lubelska, zabór rosyjski. Ale Austriacy wpakowali ich do więzienia, ojciec siedział w strasznych warunkach 17 miesięcy i cudem został wykupiony przez dziadka, który miał u Austriaków jakieś koneksje. Po 17 miesiącach ojciec wrócił tak zmarnowany, że długie lata nie mógł przyjąć do

cowałem od początku, na farmach nasiennych w stanie Michigan, z motyką całe dnie, straszny upał. I tak ja przy tej motyce całe lato. Przyszła jesień, to mi powiedzieli do widzenia, i pojechałem do Detroit. Na tych farmach zarabiałem półtora dolara dziennie, to było niemało, to było, powiedzieć, trzy ruble, a ja szalenie, proszę pana, umiałem oszczędzać i dziennie od-

Obywatel miejski

Maciej Podgóski

teścia, w 1896 roku. Tak że wtedy zamieszkaliśmy już w samym mieście.

— Przedtem też przecież byliście w Lublinie.

— Proszę pana, jak jest wejście do Saskiego Ogrodu, to się miasto kończyło. Buda z jednej strony, wrota z drugiej i rogatka.

— Więc ojciec nazywał się Frydrychs czy Frydro? — Kazał się nazywać Frydro, bo chciał spolszczyć swoje nazwisko, żeby było podobne do nazwiska Fredro. A ja około 1920 roku przyjąłem nazwisko mojej matki: Piechowski.

siebie, zupełnie jak ja po powrocie z Ameryki.

— Więc pomówmy trochę o panu. — W 1904 roku był w Lublinie strajk szkolny. Wyruceili nas sześciuset z gimnazjum rosyjskiego, to był ten ogromny gmach zaraz za „Wizytkami”. Po całej Polsce żelmy się wtedy rozlecieli, gdzie kto mógł się uczyć trochę. A ja w 1906 roku wylądowałem w Ameryce. Dostałem od rodziców na drogę w tamtą stronę i z dwoma kolegami, Pikulskim i Błażejewiczem, pojechalismy. W Lublinie i tak nie mógłbym się uczyć, tu był przekłetej pamięci dyrektor gimnazjum, Syngalewicz, przekłetej pamięci... Więc wsiadłismy na statek w Antwerpii i przez Glasgow do Nowego Jorku. Wylądowałem bez grosza, bo już wtedy ojciec bardzo źle stał materialnie. Nie znam języka, nie mam nic, tylko dziesięć palców. Tak że ja na farmach pra-

TYTUS

21 marca br., na ulicy Chabrol w Paryżu zginął w wypadku samochodowym Tytus Dzeduszycki — artysta plastyk, współzałożyciel grupy lubelskiej „Zamek”.

Dla wielu Polaków, odwiedzających Paryż, Rue de Chabrol była pierwszą ulicą, której nazwę trzeba było zapamiętać. Przy tej ulicy mieściła się pracownia Tytusa. Wital w niej gości — życzliwi, pełen energii i humoru. Ten polski dom był często bazą dla ludzi pragną-



cych poznać Paryż. Bywało tam mnóstwo artystów i intelektualistów.

Do Paryża przyjechał Tytus w 1958 roku. W rok później organizuje tutaj wystawę grupy „Zamek” i zbiera wraz z resztą kolegów pochwały krytyki francuskiej. W następnych latach bierze udział w wystawach międzynarodowych grupy „Phases” oraz wystawia indywidualnie.

Jednakże nie przyjechał do Paryża dla sławy. Skromny, nie będący pewnym wartości swych poczynań artystycznych, nie mógł myśleć o podbiciu tego miasta swoją sztuką. Potrzebny był mu klimat Paryża. Lubił go i lubił być nim zmechanizowany. Wiedzy uczył z niego, dając szansę swojej drugiej naturze — romantyka i wracał, żeby z nową energią chłonąć atmosferę tego zawsze pasjonującego artystów miasta.

Po kilku trudnych latach zaklimatyzował się w stolicy Francji na tyle, że mógł nawet zajmować się Polakami przyjeżdżającymi do Paryża — wciąż jeszcze wielkiej metropolii sztuki. W ostatnich latach prowadził wraz z żoną w jednej z turystycznych podgórskich miejscowości sklepik, w którym sprzedawali swe prace również artyści polscy.

21 marca po zalatwieniu związanych z tym przedsięwzięciem spraw wrócił do Paryża. Gdy parkował samochód przed domem, w którym mieszkał, dosięgła go śmierć.

Swoje wspomnienia o Tytusie zaczynam od czasów najświeższych. Gdy jeszcze niedawno

wybierałem się do Lublina, nie wiedziałem, że będzie to podróż w przeszłość. Na kilka godzin przed wyjazdem dowiedziałem się, że Tytus nie żyje. Do tego momentu myślałem, że czas wspomnień jeszcze nie nadszedł.

Okres lubelski grupy „Zamek” był bodźcem do dalszych poczynań, a nie tematem pamiętników. Śmierć Tytusa brutalnie zmieniła rytm naszego życia. I przyszłość już nie jest tak niewiadoma — obarcza ją brak jednego z nas.

Sila naszej grupy była w tym, że każdy z nas wnosil inne cechy, które składały się na jeden organizm. Tytus był najmłodszy, a wniósł do grupy przede wszystkim swoją siłę witalną, wystarczającą dla wszystkich i trochę romantyzmu, którego chociaż szeptem jest potrzebna.

Magister biologii — był przede wszystkim artystą, malował, pisał wiersze, scenariusze, projektował scenografie i występował w kabarecie artystycznym „Sex” w lubelskiej „Piwnicy”. Gdy wyładował nadmiar energii w sporcie czy tańcu, stawał się sentymentalny, nieśmiały, trochę dziecinny. Śmieszyło to nas, ale przydawało się nam, trochę starszym i bardziej cynicznym.

Zanim wyjechał do Paryża przeniósł się z Lublina do Warszawy. Mieszkał na Saskiej Kępie w małej suterence i tam pracował. Tam powstały jego najlepsze prace wykonane w Polsce. Trwała jeszcze wież grupy „Zamek”. Tytus przenosząc się do Warszawy rozszerzył jedynie pole naszego działania. Lublin stawał się już dla nas przyćmiony, Warszawa była drugim etapem — kontakty artystyczne i przyjacielskie mieliśmy z nią od chwili powstania grupy.

Trzy ostatnie lata istnienia „Zamku” wydają mi się teraz krótkim okresem. Ale wtedy żyliśmy intensywnie, pracowaliśmy intensywnie. Ten czas był dostatecznie długi dla wykształcenia się naszych postaw. Nasze drogi mogły się już rozjeść.

Ale nawet teraz, po kilkudziesięciu latach, każdemu z nas nie obce były losy pozostałych...

Nasze doświadczenia życiowe jakby dodawały się i każdy z nas był bogatszy o przeżycia kolegów.

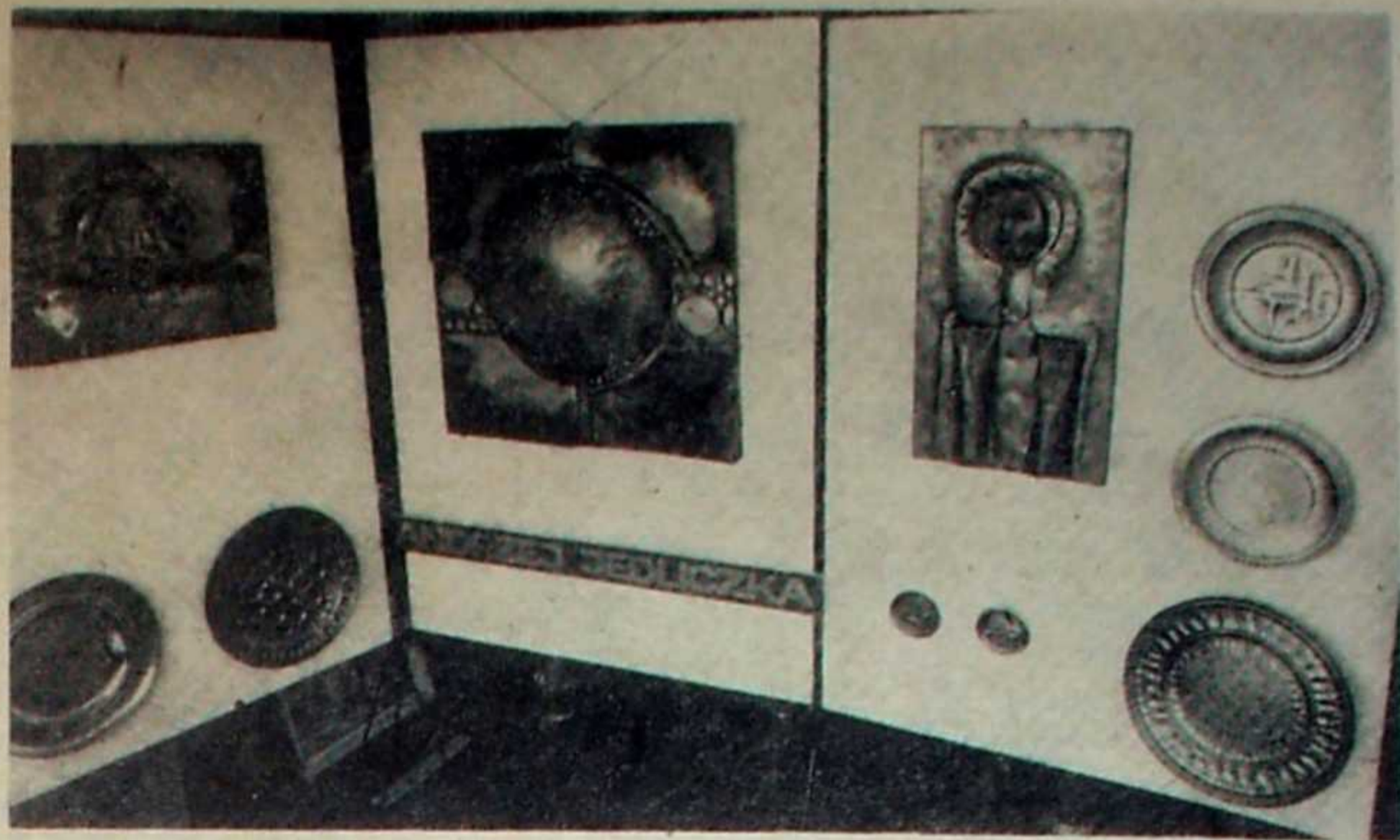
Tytus zapraszał mnie kilkakrotnie do siebie, do Paryża. Nie udawała mi się ta podróż. Ale zawsze byłem przekonany, że jeżeli nie pojedę teraz, to może za rok...

A kiedy Tytus przyjeżdżał do Polski — przybliżał mi Paryż.

Byliśmy w tych godzinach spędzonych z sobą tacy jak dawniej.

Może pojedę do Paryża i znajdę się na ulicy Chabrol — ale wtedy będą to tylko wspomnienia.

Włodzimierz Borowski



Fot. CAP (Z. Jaskiewicz)

W marcu w saloniku sklepu „Plastyka” w Lublinie czynna była wystawa prac w metalu Andrzeja Jedliczki, ciesząca się wprost wyjątkowym zainteresowaniem publiczności. Jedliczka pokazał miedziane obręzy, dekoracyjne talerze i drobniejsze formy, zamieniające znakomite opanowanie warsztatu i wysoką kulturę plastyczną autora. Mówiąc wprost: to były piękne przedmioty, które chciałoby się posiadać w mieszkaniu. W opracowaniu ich powierzył metalowi artystę, który w Lublinie i ogólnopolskich, m.in. w Sopocie i Radomiu, Urodzony w 1935 r., Wydział Malarstwa krakowskiej ASP ukończył w 1962 r., zaraz potem trafiając do Lublina. Odchodząc od malarstwa olejnego, Andrzej Jedliczka zachował przecież typ malarzkiego widzenia, o czym najlepiej świadczy metalowe tarcze, subtelnie zróżnicowane w kolorowo. Jedną z nich pokazał zresztą na wystawie dzieł malarzy lubelskich w węgierskim Debrezynie w 1970 r.

(Kam)

Okiem asystenta

Jan Lewandowski

NIEWIELE jest, zdaje się, zadowolonych z obecnego stanu nauczania w szkołach wyższych. Do grupy malkontentów należą zarówno nauczyciele akademicy, którzy często widzą bezowocność swoich wysiłków i najlepszych chęci, jak i studenci, którzy nierzadko stwierdzają, że studia nie spełniły w pełni ich oczekiwań, że mogliby wyuczyć się więcej niż wynoszą, gdyby...

Zacznijmy od tego, że w procesie dydaktycznym mamy do czynienia z dwiema stronami: nauczającą i uczącą, a rzetelne traktowanie swoich obowiązków przez obie strony jest podstawowym warunkiem tego, aby wysiłek żadnej z nich nie poszedł na marne. Studenckie słuszne domaganie się większej samodzielności, większej roli w życiu szkoły pozwała oczekiwać, że wraz z tym nastąpi większa niż dotychczas odpowiedzialność uczącej się braci za to, co dzieje się zarówno w sali wykładowej, jak i w domu akademickim, w stołówce, w bibliotece. Nie warto tutaj chyba przytaczać starej, dobrze znanej i od dłuższego czasu nie zmieniającej się raczej listy studenckich grzechów, poprzestańmy na stwierdzeniu, że miejsca, w których student jest istotą samodzielną, wiele jeszcze pozostawiają do życzenia.

Teraz, audiaturo, altera pars, należałoby przejść do wyliczenia tego, czego, czasem daremnie, oczekują od swoich nauczycieli studenci, ale sądzę, że znacznie lepiej potrafią to zrobić oni sami, wiedzący o swoich wychowawcach znacznie więcej niż można byłoby przypuszczać.

Oprócz kwestii spornych, w poglądach na sprawy akademickie dydaktyki wiele jest także opinii zbliżonych, takich chociażby jak ta, że istniejące programy nauczania wymagają rewizji, że należy zmniejszyć ilość wykładów na rzecz ćwiczeń i zajęć typu seminaryjno-ćwiczeniowego, zajęć w małych grupach, w których obie strony byłyby aktywne, obie mogłyby stawiać pytania, kontakt między prowadzącym zajęcia a studentem byłby bardziej bezpośredni, a dystans mniejszy niż na wykładzie.

Poprawianie programów nauczania ma rodowód równie stary jak one same, dotychczas jednakże odbywało się przeważnie na zasadzie dodawania coraz to nowych przedmiotów do już istniejących. Zmiany ilościowe musiały spowodować także jakościowe, tyle że idące w kierunku dokładnie przeciwnym niż intencje reformatorów. Doszliśmy do takiej ilości zajęć, że utopią jest mówienie o samodzielnej pracy studenta, na którą po prostu w „tygodniowej siatce zajęć” nie ma miejsca. Studiowanie, pomyślane na humanistycę jako możliwość samodzielnego przetrwania źródeł i literatury z zakresu określonej problematyki — przy czym student miałby także, przynajmniej ograniczoną, możliwość określenia i realizacji własnych zainteresowań — zostały zamienione w uczenie się od zajęć do zajęć, od egzaminu do egzaminu.

Istniejące programy wymagają takich zmian, aby student miał czas na pracę samodzielną, spokojną i z nieco dłuższą niż dotychczas perspektywą, a więc obejmującą czy to większy okres chronologiczny, czy też szerszą problematykę. Pewną poprawę w studenckim bilansie czasu na naukę przyniosło skrócenie okresu szkolenia wojskowego w czasie studiów, a już mówi się o wprowadzeniu, w związku z tym, studiów czteroletnich.

Niekwestionowana na ogół potrzeba zamiany dotychczasowego tradycyjnego wykładu na zajęcia, w których obie strony byłyby aktywne, nasuwa kilka uwag. Z pewnością niektóre wykłady zostaną usunięte, w sytuacjach kiedy np. brak podręcznika do danego przedmiotu, albo tam, gdzie materiał jest jakościowo nowy dla studentów.

Podstawowym warunkiem, aby wprowadzona zmiana przyniosła oczekiwane rezultaty, jest dysponowanie przez studenta czasem koniecznym do przygotowania się do takich zajęć, w przeciwnym bowiem wypadku wrócimy, zmieniając tylko nazwę, do tradycyjnego wykładu.

Kolejny warunek wynika z następującej diagnozy: w obecnej chwili nie wszystkie szkoły wyższe posiadają możliwości, przede wszystkim kadrowe i lokalowe, do przeprowadzenia takiej reformy. Z obecnym potencjałem kadrowym i lokalowym uczelnie te z trudem dają sobie radę z bieżącymi zadaniami dydaktycznymi. Potwierdzeniem tego może być suma godzin ponadwymiarowych i zleconych na poszczególne kierunki, oraz duże liczebne grupy ćwiczeniowe uniemożliwiające efektywne prowadzenie zajęć. To ostatnie, nadmierna liczebność grup, wynika zarówno z braku sal jak i z niedostatku etatów. Im większe grupy w ramach danego roku, tym mniej rok jako całość zajmuje godzin w sali i tym mniej obciążeni są, przynajmniej formalnie, pracownicy naukowo-dydaktyczni. Oto przykład: 120 osób na roku można podzielić na: wariant 1 — 6 grup po 20 osób, lub wariant 2 — 4 grupy po 30 osób. Jeżeli studenta obowiązuje z danego przedmiotu 2 go-

dziny ćwiczeń tygodniowo, to dla całego roku daje to w wariantcie pierwszym 12 godzin (obciążenie sali i pracownika) lub 8 godzin w wariantcie drugim. Ze w tym drugim przypadku efekty pracy i studentów i prowadzącego zajęcia będą gorsze niż w pierwszym, to schodzi na plan dalszy, najważniejszy jest przepis, który mówi, że studentów można dzielić na grupy według dzielnika 30. Dotyczy to większości ćwiczeń na kierunkach humanistycznych. Zresztą, dodajmy od razu, że w warunkach humanistyki lubelskiej tej większej liczby mniejszych grup, gwarantujących lepsze rezultaty dydaktyczne, nie byłoby gdzie (brak sal) i komu (brak etatów) prowadzić. Dodatkowym efektem trudności lo-



Fot.: A. Polakowski

kalowych jest taki tygodniowy rozkład zajęć studenta, że w jednym dniu studenci mają ośmiogodzinny, a którymi nie ma co robić, w innym dla odmiany trudno im znieść obciążenie w czasie godzinnej przerwy. O wartości zajęć prowadzonych w późnych godzinach wieczornych, kiedy zarówno prowadzący jak i studenci mają za sobą cały przepracowany dzień, lepiej nie wspominać.

Skutki braków kadrowych są także wcale pokaźne. Najpoważniejsze z nich to nadmierne obciążenie pracowników naukowych zajęciami dydaktycznymi. Nie jest to z pewnością czynnik sprzyjający podnoszeniu poziomu tych zajęć.

Wróćmy teraz do postulatu zamiany wykładu na zajęcia typu konwersatoryjno-ćwiczeniowego. Nawet przy zmniejszeniu „obciążenia” zajęciami studentów nie będzie to oznaczało zmniejszenia obciążenia dydaktycznego pracowników. Wykład prowadzony jest z reguły dla całego roku, przy konwersatoriach trzeba będzie podzielić rok na mniejsze grupy, bowiem tego typu zajęć nie można prowadzić z grupą takiej wielkości, że po roku prowadzący nie pamięta jeszcze wszystkich nazwisk uczęszczających na zajęcia studentów, nie mówiąc już o możliwości indywidualnego, nieformalnego kontaktu z każdym ze studentów, poznania jego zainteresowań, warunków bytowych, sukcesów i trudności, udzielenia konkretnej pomocy potrzebującym. Jak bumerang wróci stary problem: sala, kadra... — błędne koło? Tak, jeżeli i tym razem skończy się na projektach, dyskusjach, utyskiwaniach, miniejszej czy większej ilości zbędnych i artykułowo prasowych i odłączaniu problemu przy pomocy budującej statystyki.

A tymczasem bramy wyższych uczelni otwieramy coraz szerzej dla całej zdolnej i chępczej studowatej młodzieży i od postępu w dydaktyce zależy w ogromnym mierze to, czy rezultatem wspólnego zapału, dobrych chęci i wysiłku młodzieży i kadry nauczającej staną się absolwenci dojrzały, potrafiący samodzielnie myśleć, przygotowani do podjęcia czekających na nich zadań, czy też będziemy mieli nowe grono kandydatów do dyskusji o niespełnionych warunkach postępu w dydaktyce szkoły wyższej.

zjum i mnie wpięram posadzone z małymi dziewczynkami w I klasie, żebym się osłuchał języka. Aż wreszcie dostałem zaświadczenie: mister Frederiks jest dostatecznie przygotowany do wstąpienia na uniwersytet. I tak się uczyłem, a w wakacje znowu ja na farmy z motyką w ręku. A raz to jeden z profesorów uniwersytetu, Zwierzchowski rodem z Poznania, zaproponował mi do „Kurierki Polskiego” w Milwaukee, tak że przez lato pracowałem w redakcji, tłumaczyłem z angielskiego, bo to było pismo polskie, chodziłem po sądach, Bóg wie nie co...

— Był pan chyba tak zwanym redaktorem odpowiedzialnym?

— O, to, to. Taka śmieszna funkcja. Ale przez te wszystkie roboty wróciłem do kraju wyniszczony do ostatka, w 1912 roku. Dostałem dyplom dentystryki i wróciłem. Te farmy mnie tak wykończyły. Znalazłem się w Lublinie i już mnie chcą brać do rosyjskiego wojska, więc ja uciekam do Galicji, gdzie się zajmuję hodowlą drobiu na wzór amerykański. Żeby praktykować jako lekarz-dentysta, musiałbym mieć obywatelstwo austriackie, a ono przysługiwało dopiero po dziewięciu latach pobytu. Wybuchła I wojna i Austriacy mnie przyznali w ciężkim więzieniu w Piwnicznej, pięknym miasteczku nad Popradem. Ale po miesiącu znowu wróciłem do Lublina, bo przyszły polskie wojska i oswobodziły nas w Piwnicznej. Wtedy wróciłem do Lublina, gdzie otworzyłem praktykę i tak dalej, ciągle właściciel w tej samej kamienicy przy Narutowicza 13. I wojna, II wojna i tak dalej. Teraz już nie pracuję, ogród uprawiam.

— Ale wrócimy jeszcze do pańskiego ojca. Co to było z tym esperanto?

— Bardzo ciekawa sprawa. Ojciec się zainteresował esperanto kilkanaście lat przed śmiercią. Ojciec w ogóle się interesował rozmaitymi rzeczami, znał języki, grał na woloncellu. I wtedy właśnie ten Zamenhof, oni weszli w kontakt, ojciec pisywał do niego. Mielśmy listy Zamenhofs, wszystko poginęło od tej bomby. I ojciec tak się fantastycznie w to wrobił, że cały czas esperanto. Cały słownik esperanki od nowa układał, ale nie zdążył.

— A ja dzięki tropowi esperankiemu dotarłem do pana i historii pańskiej rodziny. Jeszcze jedną: jak wygląda sprawa tego grobowca na Lipowej?

— Ten grób już był gotów przed śmiercią ojca i trumna była gotowa. To ojciec sam sobie zarządził i wszystko to czekało na niego. Stąd właśnie te wszystkie napisy.

— A dlaczego właśnie takie?

— A bo, wie pan, ojciec jako rolnik był nadzwyczajnie wroblony w sprawy ziemskie, choć w końcu majątek na Sławnie musiał sprzedać, bo takie były stosunki. Więc właśnie prosił, żeby go po śmierci ziemia przykryła, a dopiero potem murować.

W skorowidzu zmarłych Dozoru Cmentarzy w Lublinie grób ten określa się jako „murowany rodzinny”. W księgach parafii św. Pawła istnieje wpis, że Władysław Hieronim Frydrychs, urodzony w 1839 roku, zmarł 13 maja roku 1918 jako „obywatel miejski”. Rodzice: Edward i Leokadia z domu Frycz. W tym grobie pochowana jest również jego żona, a matka Adama Piechowskiego, z domu Piechowska, zmarła w roku 1928. I tak oto wygląda wkrzeszona historia tej rodziny.

Maciej Podgórski

POECI WIETNAMSCY

Che Lan Vien

Z cyklu „Wiersze o miłości”

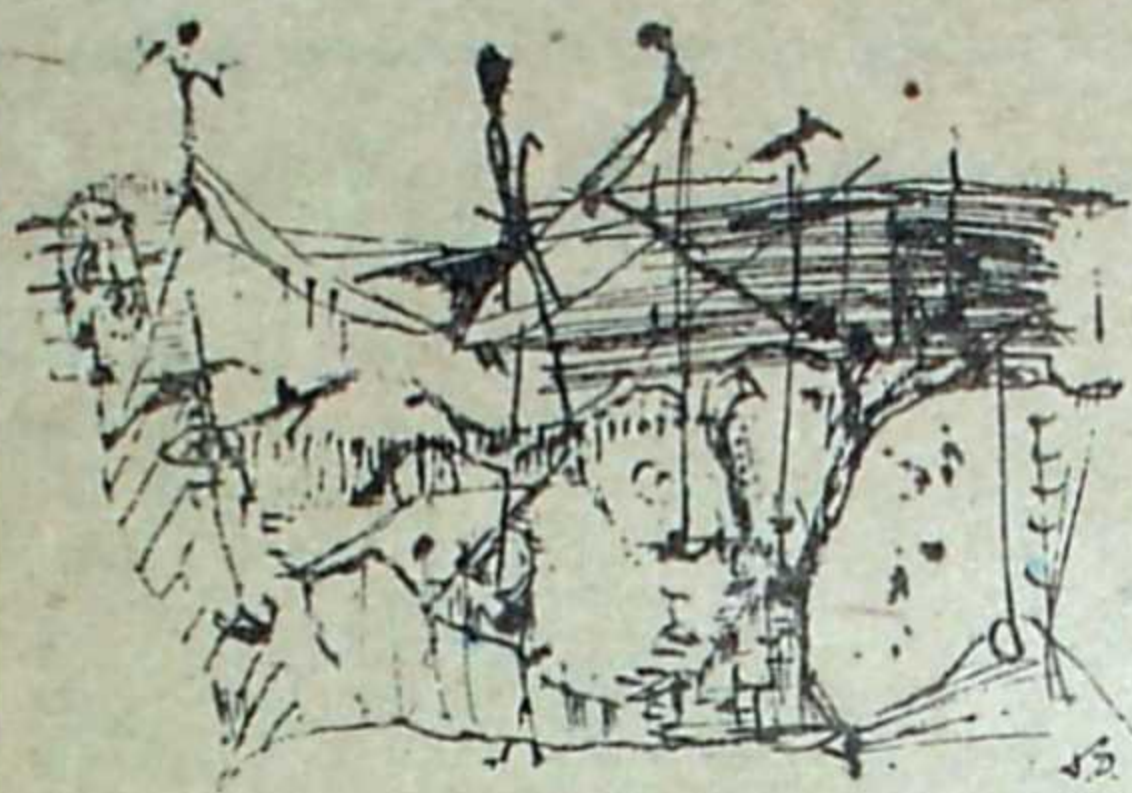
Jestem daleko od ciebie jak ląd od morza
W nocy głębokiej nasłuchuję fal z twojej strony
Jesteś mi tak bliska i tak daleka
Że, już przede mną, fala znów cię odbiera.

Sen do mnie nie przychodzi, czyż to przez twoją tęsknotę
Między nami niebo gwiazdziste płonie
Kochana moja zaini, aby dusza moja ucichła
By gwiazdy cichuteńko padały na ziemię jak kwiaty.

Hong Chinh Hien

Zapach lasu przypomina cię

Na zboczach gór unosi się lasu zapach
Jakby gdzieś wokół kwitły kwiaty
Czy to te same kwiaty, które zrywaliśmy jako narzeczeni
Ja — miałem je w butonierce
Ty — wpięte we włosy
Ileż idę lasem
Poznaję tę samą woń
Długo się droga, gdy tęsknię do ciebie
Kwiat naszych uczuć bieli zbocza gór
Dzięki ci lasie za tę woń, za przypomnienie.



Te Hanh

Twarz wiosny

Wiosna piękniła wokół
Jak twoje lica
Uśmiech to świeża płatki kwiatu
A to two oczy czy promienie
wschodzącego słońca?

Przeglądając się w twoich oczach
Błądzą w boskim raju
Z bliska — pole kwiatów
Z daleka — szum morza
Naprzeciw — pełno gwiazd
A wokół — chmury płyną

Wiosna poczęła pielgrzymkę
Spoglądam w cztery strony świata
I wszędzie dostrzegam ciebie.

Przełożył: Ta Minh Chau

Słynna jest do dzisiaj wśród lubelskich turystów historia pierwszej powojennej wycieczki zorganizowanej w lipcu 1946 r. przez znanego historyka, bibliofila i wieloletniego działacza Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, dr. Stefana Wojciechowskiego; kiedy kilkunastoosobowa grupa entuzjastów pieszych wędrowek po kraju dotarła w okolice Żyrardowa, została doszczętnie obrabowana przez jedną z grasujących jeszcze na Lubelszczyźnie band.

KILKADZIESIAT lat wcześniej zdarzył się w tym samym regionie podobny wypadek, tylko że sytuacja wyglądała nieco odwrotnie. Jeden z najstarszych, po dzień dzisiejszy czynny członek PTK, Mikołaj Pajdowski, tak oto wspomina swoją pomaturalną wycieczkę zorganizowaną w... 1911 r.: „Po drodze przagnaliśmy zwiedzić m. in. Cielęjów, majątek Klemensowskich, gdyż dotarła do nas po drodze wieść, że pałac jest zbudowany w kształcie obronnego zamku. Nieświadcami sytuacji i tamtejszych obyczajów, natknęliśmy się w wejściu na rodzaj kordgardy i gdy zameldowaliśmy się z chęcią obejrzenia i zwiedzenia palacu, powstał

Je Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (wśród założycieli znajduje się Zygmunt Gloger), stawiające sobie za cel wszechstronną działalność krajoznawczą poprzez organizowanie wycieczek i odczytów, zbieranie informacji o zabytkach, ochronę przyrody oraz prowadzenie schronisk i muzeów regionalnych. Dochodził do tego jeszcze jeden, bardzo ważny aspekt działalności, choć nie uwidocznił się w oficjalnym programie Towarzystwa: budzenie i utrwalanie uczuć patriotycznych, szczególnie wśród młodzieży. Nie na darmo godło Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego stanowiła kompozycja herbów stolic trzech zaborów: Warszawy, Poznania i Krakowa, otaczających wizerunek zamczyska w Ogrodzieńcu, gdzie za-

100 lat
polskiej
turystyki

dy właśnie zrodził się pomysł opracowania i wydania przewodnika po Lublinie, zrealizowany w 1931 r. Warto wspomnieć, że ostatni przewodnik, opracowany przez Marię Ronkierową, został wydany w 1901 r.

Z upływem lat lubelski oddział PTK coraz bardziej „demokratyzuje się”, mniej w nim ziemiaństwa, coraz więcej nauczycieli, lekarzy, kupców i urzędników. Jest też duża

Zaczeło się od marzeń

Mirosław Derecki

wielki alarm i wzywanie kozaków, aby nas poddać rewizji. Wycofaliśmy się czym prędzej z niebezpiecznego odcinka naszej trasy, gdyż łatwo mogliśmy się znaleźć w rękach policji carskiej (...). W owym czasie, po opadnięciu fali rewolucyjno-strajkowej, w kraju zdarzały się dość częste wypadki bandytyzmu. Niektóre dwory uciekały się do obrony za pośrednictwem zbrojnych hajduków-kozaków. Nas wzięto za bandytów. Innym razem... powędrowaliśmy w stronę Zaklikowa. Po drodze majątek Lysaków (...). Gdy zauważono zbliżenie się naszej grupy, gospodarz dworku czekał już na nas ze strzelbą, nie spuszczać oka z muszki.

Obydwie historie brzmią dzisiaj, przy olbrzymim rozwoju turystyki, wręcz nieprawdopodobnie, dzisiaj, gdy samo tylko Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze skupia w swoich szeregach 600 tysięcy członków, gdy Lubelszczyzna liczy ich niemal 14 tysięcy. Turystyka piesza i motorowa, zorganizowana i indywidualna, krajowa i zagraniczna, liczne i coraz mocniej ze sobą konkurujące biura podróży — oto bilans zamykający stulecie istnienia polskiej turystyki, której lawinowy rozwój przypada zresztą na ostatnich dwadzieścia lat. 19 maja rozpoczyna się w Krakowie uroczyste obchody rocznicowe.

A zaczęło się wszystko dość skromnie, w 1873 r. zorganizowaniem przez grupę entuzjastów Galijskiego Towarzystwa Tatrzańskie, które następnie przyjęło nazwę Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie. Wśród założycieli znaleźli się m. in. dr Tytus Chalubiński i słynny zakopiański proboszcz — ksiądz Józef Stolarczyk. W zaborze rosyjskim można mówić o zorganizowanej turystyce dopiero od roku 1906, kiedy to w Warszawie powsta-

decydowano o powstaniu Towarzystwa.

W Lublinie oddział PTK powstał 26 stycznia 1908 r. Pierwszym prezesem został zastępca pedagoga, dyrektor polskiego gimnazjum, Gracjan Chmielewski i funkcję tę sprawował nieprzerwanie aż do 1913 r. 28 kwietnia 1908 r. powołano do życia oddział PTK w Chełmie, funkcję prezesa objął znany miejscowy działacz, dr Edward Luczkowski.

Początkowo oddział lubelski liczył 34 członków, w pierwszym roku istnienia zorganizowano trzy wycieczki: do Kazimierza i Janowca, do wsi Krupie i Chelma oraz do Białowięzy. W roku 1909 majątek oddziału wzbogacił się o wielki, drewniany aparat fotograficzny, który zresztą przechował się do dnia dzisiejszego. Członkowie Towarzystwa rekrutowali się w owych czasach głównie spośród miejscowej inteligencji oraz okolicznego ziemiaństwa. Nie bez kozery kolejnym prezesem, w 1913 r., został hrabia Antoni Rostworowski. W organizowanych wycieczkach brała udział przede wszystkim młodzież szkolna. Lokal PTK mieścił się w owych czasach przy ul. Krakowskie Przedmieście 58, wśród działaczy spotykał nazwiska poetki Franciszki Arnsztajnowej, dziennikarza Kazimierza Giełżyńskiego oraz działaczki społecznej Wandy Papińskiej.

Wybuch pierwszej wojny światowej zahamował rozwój obydwóch oddziałów — lubelskiego i chełmskiego (w ostatnich latach PTK w Lublinie liczyło 94 członków a w Chełmie 118, przy czym w Chełmie działały trzy sekcje: biblioteczna, muzealna i wycieczkowa), po zakończeniu wojny Towarzystwo nie przejawiało zbytnej aktywności aż do 1930 r., kiedy to inspiratorem wielu poczynań turystycznych stał się przybyły z Warszawy kurator lubelski, dr Eustachy Nowicki. Wte-

grupa młodzieży szkolnej i akademickiej. Przez pewien czas funkcję prezesa sprawuje lubelski naukowiec i literat, dr Feliks Araszkiewicz. O wzroście zainteresowania turystyką górską świadczy fakt, że w Lublinie powstaje również oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie.

Ostatni, przedwojenny lokal Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, mieścił się w lubelskim Trybunale...

Po zakończeniu działań wojennych PTK zostało reaktywowane, pierwszym prezesem był prof. Marian Morelewski, a następnie prezesował Towarzystwo ówczesny przewodniczący PWRN, Ludwik Czugała.

Nowy model polskiej turystyki zaczyna się kształtować od roku 1948, kiedy Ministerstwo Komunikacji wyasygnowało znaczne sumy na budowę i odbudowę szeregu obiektów przemysłowych z przeznaczeniem na schroniska turystyczne. Na Lubelszczyźnie powstają wówczas domy wycieczkowe w Lublinie, Kazimierzu, Puławach i Zamściu. Natomiast na akcje organizacyjną i propagandową PTK wpływa dotacje raczej symboliczne. O prawdziwym „wybuchu” turystyki można mówić dopiero od przełomu lat 1950/1951, kiedy nastąpiła unifikacja Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, a państwo przeznacza na jego rozwój poważne kwoty pieniędzy.

W roku 1930 było w Lublinie zaledwie kilku przewodników. W roku następnym kilkunastu. Ale już na przełomie lat 1953/54 zorganizowane zostają dwa specjalne kursy, które dają uprawnienia przewodnickie 100 osobom, przeważnie studentom. Z dynamicznym, planowym, popieranym przez państwo rozwo-



Professor Mieczysław Kedra: 100 prac naukowych — 59 lat życia...
Fot. CAF (J. Trembecki)

Serca w remoncie

Ciąg dalszy ze str. 1

Ich 25, podczas gdy potrzeby określa się na liczbę 30. Realne nadzieje na poprawę tej sytuacji wiążą się z uruchomieniem, jako drugiego w Europie, Wydziału Pielęgniarstwa Akademii Medycznej, którego absolwentki otrzymują tytuł magistra, później zaś — możliwość doktoryzowania się i habilitacji. Powinny one zasilać kadre pedagogiczną szkół pielęgniarek i przyczynić się do zwiększenia ich liczby w Polsce. Wydział wzbudza zresztą spore zainteresowanie, w związku z czym często goszczą w Lublinie przedstawiciele Światowej Organizacji Zdrowia.

Chory z zawałem trafia do jednej z sal oznaczonych numerami trzy tysiące sto kilkadziesiąt. Zostanie podłączony do zbiorników z tlenem, do skomplikowanych aparatów, które wysyłają impulsy elektryczne, pobudzające pracę serca. W razie zatrzymania pracy serca i wystąpienia śmierci klinicznej prowadzą się tzw. akcje reanimacyjne: lekarz masuje okolice serca, ktoś

inny wprowadza bezpośrednio do tego pracowitego narządu środki farmakologiczne...

Na sąsiednich łóżkach leżą jego bracia w niefrasobliwym stosunku do własnego zdrowia. Są to na ogół ludzie tężdy, wagi o kilkanaście kilogramów powyżej normy, o palcach podobnych od nikotyny, przed zawałem unikający zapewne ruchu, pracy fizycznej. W ich krwi już w dzieciństwie zaczęły powstawać drobiny tłuszczu, rodne, czyli związki białkowatostężkowe, które odkładają się na błonie wewnętrznej tętnicy, dają początek procesowi prowadzącemu do niebezpiecznej sytuacji. Po wielu latach trwania, stymulowanego nadmiernym spożywaniem tłuszczów zwierzęcych, nikotyny i rosnącym z wiekiem bezruchem, proces ten zakończył się zwaśnięciem lub zamknięciem światła tętnicy. Powstały skrzep zatamował dopływ krwi do mięśnia serca, powodując zawał. To prawda, że młodziśca zaczyna się już w wieku dziecięcym, nigdy jednak nie jest za późno na powstrzymanie jej rozwoju. Stresy, napięcia nerwowe, które coraz częściej atakują psychikę dojrzałego człowieka, przyspieszają rozwój młodziścy, ale ich działanie wiąże się z nadmierną obecnością tłuszczów zwierzęcych w organizmie: pobudzają układ chemiczny do zwiększonego wydzielania adrenaliny i noradrenaliny, które powodują rozkład tkanki tłuszcz-

czowej we krwi, skąd kuleczki, popularnego wśród domorosłych znawców, cholesterolu, lipidów i innych frakcji ciał tłuszczowych odkładają się na wewnętrznych warstwach tętnic. Im więcej tłuszczu, tym groźniejsze następstwa stresów. „Likwidacja zbędnych kilogramów wagi ciała i porzucenie palenia zapewniają przedłużenie życia o kilka, a nawet kilkanaście lat” — mówi profesor Kedra, nie po raz pierwszy i nie tylko on, co jednak nie znajduje większego oddźwięku wśród Polaków, dalej przepadających za gotonką czy giczą cielecą o wadze najmniej jednego kilograma. Jest to o tyle paradoksalne, że — jak twierdzi profesor — „dla ludzi uporczywie trzymających się życia, niż, powiedzmy, dwadzieścia lat temu; chyba dlatego, że współczesne życie jest łatwiejsze w sensie materialnym, przyjemniejsze, bogatsze w doznania”.

W salach Oddziału Intensywnej Opieki Kardiologicznej stoją mniejsze i większe, o wysokości i kształcie radioli, pudła metalowe. Jedno z nich, podłączone do nieruchomej postaci ciężko i szybko oddychającej, to monitor pokazujący pracę serca. Na oragowym ekraniku nerwowo rysuje się sinusoida: zawał. Jego przebieg można utrwalić na taśmie ekg, wysuwającej się z wnętrza aparatu, który posiada również sygnał dźwiękowy, przywołujący pielęgniarkę zajętą innym chorem. Wyprodukowany w Danii, kupiony za kilka tysięcy dolarów, spełnia o jedną funkcję więcej od aparatów sprowadzonych pięć i więcej lat temu, które dość często odmawiają posłuszeństwa. Urządzenia te są szalenie kosztowne, a do tego „dewizowe”. Pobudzający pracę serca zachodnoniemiecki „Hellige 19”, prezentowany w Niedawno Klinice przez Fabrykę Samocho-dów Ciężarowych w Lublinie, ko-

jem turystyki szkolnej, studenckiej i robotniczej wzrasta zapotrzebowanie na przewodników, organizatorów wycieczek, a w związku z tym musi ulec rozbudowaniu kadra administracyjna. Siłą rzeczy w przeszłości odczodził model działalności dawnych towarzystw turystycznych, opartych głównie na społecznikostwie i... kompletnym braku pieniędzy.

Okręg lubelski PTTK ma w chwili obecnej 17 396 członków zrzeszonych w 21 oddziałach i 376 kołach. W stadium organizacyjnym znajdują się oddziały we Włodawie, Janowie i Kraśniku Lubelskim. Działają 3 koł przy wielkich zakładach pracy, koło międzyuczelniane oraz koło propagujące turystykę w środowisku wojskowym. Wszystkie oddziały prowadzą działalność programową i usługową — od różnorodnych form tzw. „turystyki kwalifikowanej” aż po usługi transportowe (PTTK w Lublinie i Białej Podlaskiej posiada własne autokary wycieczkowe). Wyodrębniony od 1 marca br. Okręgowy Zespół Obiektów Turystycznych, podległy Zarządowi Głównemu PTTK, ale odpowiedzialny również przed Zarządem Okręgu, zawiąduje pensjonatem „Murka” w Kazimierzu nad Wisłą, dwoma domami wycieczkowymi w Puławach, domem wycieczkowym w Zamościu i w Lublinie, stacją wodną w Annopolu i ośrodkiem turystycznym złożonym z domków campingowych w Serpelicach nad Bugiem. W najbliższej pięcioletniej bazie noclegowa OZOT-u zwiększy się o domy wycieczkowe budowane w Zwierzyńcu, Suszczu i nad jeziorem Krasne. To jednak jeszcze trochę odległa przyszłość. Natomiast już w bieżącym roku zostanie narecznie jako tako rozwiązana sprawa noclegowa na trasach Rortocza. Wzdłuż 200-kilometrowego szlaku biegnącego od Zaklikowa przez Bilgoraj, Józefów, Susiec i Krasnobród do Zamościa powstanie 9 baz noclegowych złożonych z wielkich namiotów typu wojskowego. Bazy te zapewnią miejsca dla 650 turystów. Nie jest to zbyt wiele, ale w każdym razie w pewnym stopniu rozwiąże nabrzmiały od lat problem.

Jednym z osiągnięć Zarządu Okręgu PTTK w Lublinie jest walne przycięcie się do powołania przy Technikum Ekonomicznym im. Vetterów dwuletniego pomaturalnego studium kształcącego kadry dla obsługi ruchu turystycznego. Rzecz bowiem w tym, że przy swoim ogromnym rozwoju, ruch turystyczny w Polsce obsługiwany jest wciąż przez ludzi o niepelnym kwalifikacjach zawodowych. Absolwenci Wydziału Turystycznego Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu (mieści się on w Jeleniej Górze) stanowią niewielką kroplę w morzu potrzeb. Zarząd Okręgu widziałby celowo utworzenia podobnego wydziału przy UMCS w Lublinie albo przy filii warszawskiej AWF w Białej Podlaskiej. Byłoby to studia dokształcające ludzi już pracujących od lat zawodowo w instytucjach turystycznych, ale nie zawsze posiadających odpowiednią wiedzę teoretyczną.

Tak to od marzeń dawnego działacza turystycznego o skromnej bibliotece specjalistycznej i drewnianym aparacie fotograficznym dochodzi do ambicji traktowania ruchu turystycznego w aspekcie... uniwersyteckim.

Tyle — o blaskach turystyki. O jej problemach i bolączkach — innym razem.

Mirosław Derecki

URBANIŚCI TO MANIACY?

Dokończenie ze str. 1

planu zagospodarowania przestrzennego aglomeracji lubelskiej. Myśle, że pierwsza wersja tego planu pojawi się nie prędzej niż za trzy lata.

I dlatego już nie tylko o samym planie, ale nawet o jego koncepcji nie konkretnego dziś powiedzieć się nie da. Cierpliwość będzie tu cnotą — do czasu. Sądzę bowiem, że już nie tylko sam plan, ale i jego bardziej wyrazista koncepcja powinna być poddana pod dyskusję szerszych środowisk zawodowych i społecznych.

Albo cnotą będzie również niecierpliwość w oczekiwaniu na pilne załatwienie wielu bolączek, usunięcie nonsensów, które nagromadziły się w latach poprzednich, a siłą inercji i przyzwyczajenia działają jeszcze dzisiaj. Oto kilka tylko przykładów.

Całkiem niedawno urbanisci musieli stoczyć bardzo ciężką batalię o to, aby w Zamościu nie zaczęto budować ubojni koni na eksport. Projektodawcy znaleźli nawet poparcie u niektórych przedstawicieli władz lokalnych, zafascynowanych możliwością zdobycia kilkudziesięciu miejsc pracy. Wszyscy razem dowiedzieli, że przecież chcą ubojnię wybudować nie wśród zabytków, ale w tej dzielnicy przemysłowej, która jest przeznaczona dla przemysłu spożywczego, a np. Francuzi bardzo chętnie nasze konie zjadają...

Zbudowane na monokulturze przemysłowej Kraśnik Fabryczny i Poniatowa mimo wielu dodatkowych nakładów wciąż nie są normalnymi organizmami miejskimi. I nikt nowy do nich się nie wprowadzi, jeżeli nie otrzyma popłatnej pracy w tym zakładzie, potrzebny, ale jedynym. Bliskość Lublina tylko częściowo oszczędziła i oszczędza Swidnikowi wielu przykrych doświadczeń, chociaż nadal nikt nie może powiedzieć o obowiązującej, czy i ewentualnie kiedy zostanie ono być satelitą miasta wojewódzkiego, a zamiast się w jedną z jego dzielnic.

Najwięcej kłopotów urbanistycznych jest zresztą z samym Lublinem. Kiedyś plan ogólny miasta był zatwierdzony przez Radę Ministrów i to nadawano mu rangę dokumentu, wbrew któremu rzadko kto usiłował działać. Ale plany ogólne trzeba zmieniać co pięć lat i następne były już zatwierdzane przez władze wojewódzkie. Dla resortów czy zjednoczeń mających swoją siedzibę poza województwem plan zatwierdzony na takim szczeblu nie bardzo jest prawem obowiązującym. Inwestor zaś posiada dziesiątki, czasem setki milionów, daje miejsca pracy, po dłuższych targach skłonny jest przekazać część posiadanych środków na parcie w rozwój urzędów miejskich. I z tego tytułu występuje nie tyle w roli proszącego o lokalizację, ile stawiającego warunki. Jeżeli miasto da mi to, tanto i owo, to ja zbuduję obiekt — jeżeli nie da, już jutro znajdzie sobie kilkunastu chętnych gdzie indziej. A ponieważ miasto czy województwo wie, że znalazła rzeczyciele i że miejsca pracy tutaj są bardzo potrzebne — przyjmują niemal każde warunki. Takie jest życie. A że te warunki nie zawsze mieszczą się w planie zagospodarowania — tym gorzej dla planu. Można go zmienić i jakos to będzie.

No i wytworzyła się w naszym mieście przedziwna sytuacja. Jeżeli

sprawę traktować formalnie, przeznaczony dla przemysłu w planie do 1980 roku tereny zostały już wykorzystane. Ale myliby się ten, kto by sądził, że w rozwoju potencjału przemysłowego Lublin przekroczył już granicę, przewidzianą dla roku 1980. Wystarczy przejść się z mapą lokalizacji w ręku po dzielnicy Wrotków. Teren jest tam już prawie całkowicie uzbrojony w podstawowe urządzenia, a bocznicami kolejowymi włącznie, ale chyba połowa działek nie jest wykorzystana. Porasta je zieleń i zasympują śmieci.

Dlaczego tak się dzieje, dlaczego marnują się tak cenne tereny? To właśnie jeden z relikwów okresu bezdyskusyjnej dominacji planowania gospodarczego. Obowiązujące od tamtego czasu przepisy powiadają, że lokalizacja wydana osobie prywatnej musi być wykorzystana w ciągu trzech lat, inaczej automatycznie przestaje obowiązywać. Natomiast lokalizacja wydana inwestorowi uspołecznionemu jest ponadczasowa. Wystarczy nawet tzw. przyrzeczenie lokalizacji, które jest niezbędne dla inwestora, jeżeli zamierza on podjąć starania o realizację jakiejś inwestycji. Potem inwestor może na nią nie dostać ani grosza przez długie lata, ale lokalizacja czy nawet jej przyrzeczenie obowiązuje władze miasta, które wydały jeden z tych dokumentów. Właściciel działki — miasto lub osoba prywatna — może tam zasiać zboże czy zasadzić kartofle, ale nigdy nie będzie pewien, czy zdoła zebrać plony, jeżeli inwestor nagle dostanie pieniądze. O tym zaś, aby faktyczny właściciel terenu dostał zezwolenie na postawienie chociażby małego budyneczku, nawet mowy być nie może. Potencjalny inwestor zaś może sobie bez żadnych dla siebie konsekwencji zabezpieczyć także działki w Lublinie, Zielonej Górze i Pcimiu Dolnym — wolno mu. Nawet w zjednoczeniu gotowi go pochwalić za zapobiegliwość. A że psuje tym rozwój miasta, że przekształca innym — nie jego zamierzeniem.

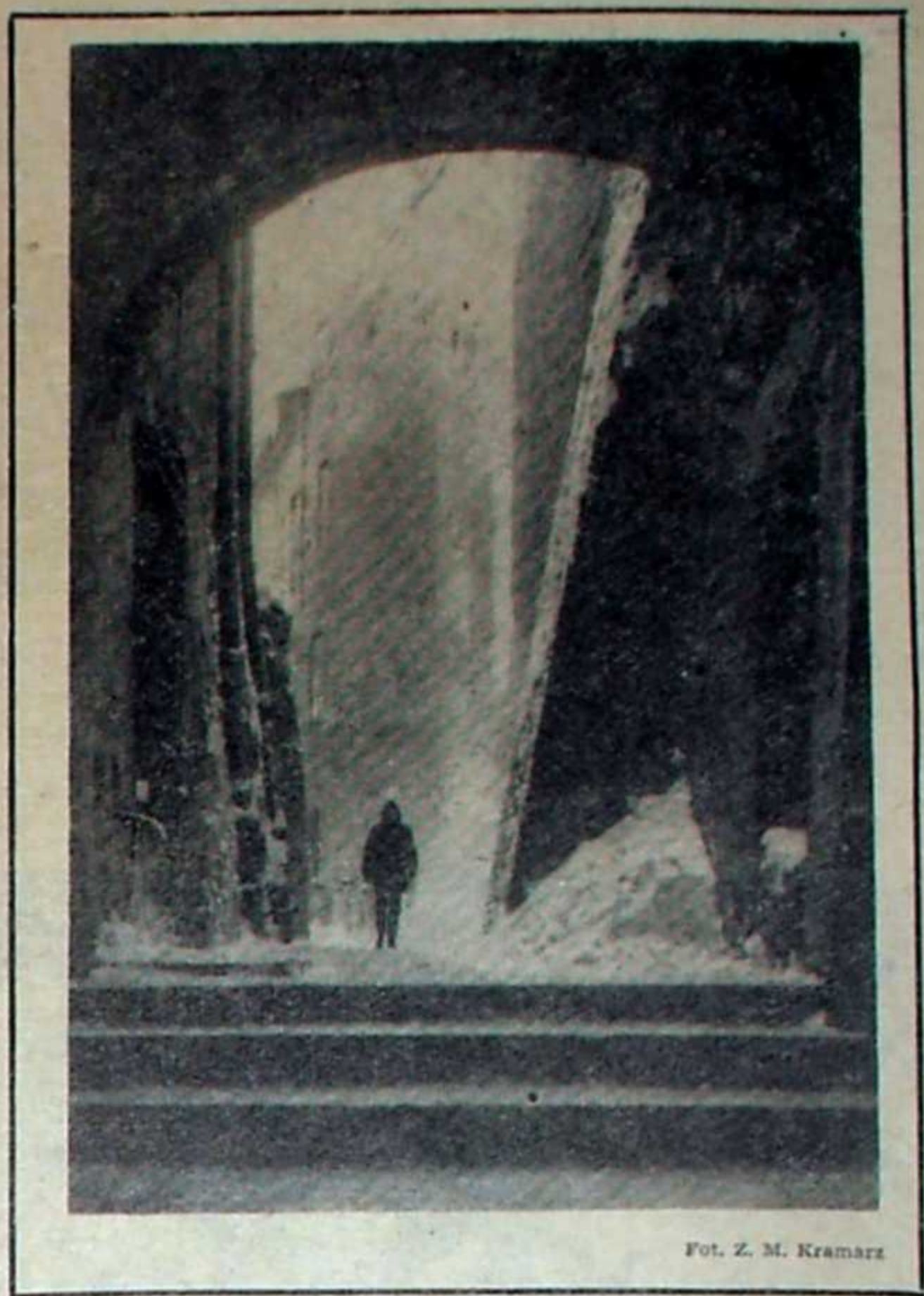
Albo inna sprawa, szczególnie widoczna w Lublinie, chociaż częściowo także w Chełmie i Zamościu, miastach wydzielonych. Tu i tam kończąca granica miasta jest zarazem początkiem granicy otaczającego miasto powiatu. Dla urbanistów jest to jakby granica magiczna. Obowiązkiem jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej po jej przekroczeniu zmieniają się dziesiątki przepisów i poważnie stosowana praktyka. Plany zagospodarowania miast nigdy dotychczas nie przekraczały ich administracyjnych granic. O bieżącej współpracy władz architektoniczno-urbanistycznych - budowlanych też trudno było mówić. No i góry po jednej stronie między był teren miejski przeznaczony dla przemysłu, po drugiej stronie tejsie między można było bez przeszkód zbudować sobie wielkie gospodarstwo. Z tej strony plan nie przewidywał budowy chociażby jednego domku jednorodzinnego, z tamtej można było postawić pięćdziesiąt. Tu można było sobie zainstalować krany z wodą w każdym pokoju, tam lokatorzy całego bloku musieli biegać do wstydliwie ukrytej na zapleczu wspólnej tzw. suchej wygódki. Aż dziw bierze, że nikt dotąd nie napisał na ten temat satyrycznego poematu...

można je spotkać podczas spaceru na Krakowskim Przedmieściu. Dodajmy na marginesie, że swoistym fenomenem w tej dziedzinie okazał się pewien mieszkaniec województwa, który umierał i był ratowany już 130 razy!

Niektóre ośrodki krajowe mają w tej mierze lepszą statystykę, lecz wiąże to się z faktem przyjmowania przez lubelską Klinikę Kardiologiczną przypadków właściwie beznadziejnych, teoretycznie wykluczających możliwości uratowania zmarłego człowieka. Ryzyko śmierci nie wszędzie jest identyczne.

Obok sali, gdzie leżą chorzy na zawał, znajduje się mniejsze pomieszczenie. Trzech mężczyzn spoczywa na plecach, w bezruchu: pod prawą pierś każdego rysuje się spore wybrzuszenie i kreski po szwach; to ślady wszczepionego w mięsień rozrusznika serca. Mechanizmy własne pobudzające pracę ich serc przestają działać, zastępuje je pudełko nalażowane energią elektryczną. Kontrolując na obrazie rentgenowskim przebieg operacji, w pierwszej fazie wprowadzono do serca, przez żyłę szyjną, elektrodę, której koniec przylegał do kilku dniach do komory. Inny przewód połączono następnie z rozrusznikiem, ułożonym w mięśniu.

Ośrodek wszczepień tych, zwanym w literaturze „szwedzkim”, założony został w Warszawie w 1969 r. w oparciu o Oddział Intensywnej Opieki Kardiologicznej i współpracę z Kliniką Torakochirurgiczną prof. dr hab. Z. Paplińskiego; operacje te przeprowadza



Fot. Z. M. Kramarz

Spójrzmy na wjazdy do Lublina od strony Warszawy, Kraśnika, Bilgoraja, Łęcznej czy Lubartowa: wszędzie zabudowa miejska, nawet jeżeli weźmiemy poprawkę na zabudowę przedmieść, poprzedzona jest budownictwem albo typowo, albo w przeważającej mierze wiejskim. I wiele, bardzo wiele wody upłynęło w Bystrzycy, zanim przestaniemy witać przyjeżdżających oborami, stajnikami czy chlewniami.

Urbanistyka z natury rzeczy zajmuje się miastami. Ale w naszych konkretnych warunkach od styczenia stało się przed nią jeszcze jedno zadanie: Jak ma wyglądać w przyszłości miejscowość, która jest siedzibą gminy. Jedną gminą problem niewielki, ale jeżeli jest ich prawie 200 — sprawa staje się trudna, jeżeli nie chcemy powielić jednego wzorca. Dlatego też oddział lubelski Towarzystwa Urbanistów Polskich zaproponował Wydziałowi Budownictwa, Urbanistyki i Architektury PWN przeszkolenie ludzi, którzy za te sprawy są odpowiedzialni w gminach. To w zasadzie technicy, choć pewnie nie dla wszystkich gmin ich wystarczą. Należałoby ich zapoznać z podstawowymi założeniami urbanistyki i planowania przestrzennego.

Odpowiedzi jednak nie było. Dla odmiany do jednostki, w której pracuje część zarządu oddziału TUP, przyszedł list, dlaczego dotychczas nie opracowano planów szczegółowych zagospodarowania przestrzennego takich to a takich miejscowości? Odpowiedź brzmiała: bo od innej placówki szczerba wojewódzkiego, miszerczej się bardzo blisko was, nie otrzymaliśmy podstawowych danych z planowania przestrzennego...

O tym, że obowiązująca od kilkunastu lat struktura organizacyjna w planowaniu przetyła się, wiedzą wszyscy

zainteresowani. W planowaniu gospodarczym poczyniono już wiele zmian, wiele zapowiedziano. Jeżeli chodzi o zmianę zasad i praw planowania przestrzennego, mówi się o tym wyraźnie od lat dwóch, w niektórych województwach prowadzi się nawet pewne eksperymenty, ale generalnych decyzji jeszcze brak. Wygląda na to, że pracowni urbanistyczne zostaną połączone z biurami projektów, co ma zapewnić wspólnie planowania na dziś z planowaniem na jutro i na pojutrze. Ale już np. w Warszawie okazało się, że powstał w ten sposób gigant, którego pracowni rozrzucone są dosłownie w 20 punktach miasta. Proporcjonalnie niebezpieczeństwo grozi i wielu mniejszym miastom.

Jak widać, problemów nabierało się wiele i co jeden to trudniejszy i bardziej zagmatwany. Będzie o nich zapewne mowa na Kongresie TUP i Walnym Zjeździe Delegatów, które to imprezy odbędą się w pierwszych dniach maja z okazji 50-lecia tej organizacji. Miejmy nadzieję, że wysunięte tam będą nie tylko konkretne propozycje nowej organizacji służb planistyczno-architektonicznych, ale również określone drogi działania celem ustalenia prawidłowego współdziałania planowania przestrzennego i gospodarczego. Chodzi o to, aby plan przestrzenny nie dreptał za innymi decyzjami, ale — przewidując optymalny i wszechstronny rozwój miasta czy regionu — był jednocześnie ofertą dla planowania gospodarczego.

Jerzy Dostatni

ształwał ok. 3500 dolarów, co jest sumą stosunkowo niską w porównaniu do ceny spodziewanego w przyszłym roku monitora centralnego, umożliwiającego jednoczesną obserwację serca kilku chorych. Dlatego też wyposażenie kliniki w nowoczesną i precyzyjną aparaturę jest dość skromne.

Zapytajmy przy okazji: czy rozwój techniki medycznej nie ograniczy do minimum roli lekarza — diagnosty? Albo inaczej: czy precyzyjny aparat może postawić trafniejszą diagnozę, niż lekarz?

„Powtarzam studentom na wykładach: wyobraźcie sobie, że w przyszłej pracy będą na was czekały hale maszyn, aparatów, które wszystko zanotują, przeanalizują, a wy tylko będziecie zbierać karteczki, obchodząc chorego na odległość... Nie podobnego! Umiejętności lekarza oparta na podstawowych metodach badania fizycznego, a więc na oglądaniu chorego, opukiwaniu, osłuchiwanie — dalej obowiązuje zyskując na znaczeniu. Kto posiada tę umiejętność, stając się niezależnym od aparatów, ten jest prawdziwym lekarzem. Aparat myli się, bywa tak, bo śrubka się obluźuje, odczynnik rozłoży, laborantka popełni błąd. Nie można ślepo wierzyć w aparaty... Niestety, ucieszka lekarzy od opanowywania podstawowych umiejętności jest wyraźnie widoczna” — odpowiada profesor Kędra. I dodaje: „Już sam wywiad z chorym, dobrze przeprowadzony, w wysokim procencie pozwala na postawienie trafnej diagnozy”.

Na Oddział przyjmowani są także ludzie zmarli od kilku minut, nie

chodzi tu wyłącznie o osoby znajdujące się w stanie śmierci klinicznej, u których nastąpił zanik pracy serca i oddechu. Podjęcie akcji reanimacyjnej w okresie 4 minut trwania tego stanu daje duże szanse przywrócenia „nieboszczyka” do życia; później następują nieodwracalne zmiany w mózgu, przekreślają te szanse. Jeśli nawet uda się uratować takiego człowieka, to z reguły, nie mając świadomości tego faktu, rychło potem umiera on po raz wtóry i ostatni. Biologia kryje jednak jeszcze sporo tajemnic, które czasami sygnalizuje — ku własnej satysfakcji i osłupieniu wybitnych specjalistów. Oto pacjent, a prawdę mówiąc — niemal klasyczny nieboszczyk, przebywa w stanie o d k o r o w a n i a, likwidujemy funkcje dyspozycyjne mózgu, przez 16 dni i... wraca do życia. Granica między śmiercią kliniczną a biologiczną nie jest dla wszystkich raz na zawsze ustalona, nigdy nie można z całą pewnością wyrokować o szansach uratowania człowieka. Dlatego właśnie na Oddział przyjmuje się wszystkich, którzy zmarli niedawno, nawet powyżej pięciu czy sześciu minut, zmarli, rzecz jasna, poza szpitalem.

Jak przedstawia się reanimacja w statystyce? Przykładowo: na 100 zmarłych przywraca się w Klinice do życia czterdziestu, z tej grupy połowa umiera powtórnie, lecz 20 pozostałych chodzi przecież po świecie. W sumie akcja reanimacyjna okazała się zbawienna dla 100 osób;

głównie dr St. Jablonka, a także inni chirurdzy tej Kliniki. Dotychczas chorzy musieli tułać się po kraju w poszukiwaniu szpitala, który wszczepiłby rozrusznik, aparatki trudno zresztą dostępne, co powodowało dodatkowe kłopoty. Powstanie ośrodka w Lublinie zlikwidowało ten problem, każdy mieszkaniec województwa, jeśli zachodzi potrzeba, otrzymuje na miejscu ten wzmaeniacz pracy serca, przywożony przez asystentów, a często osobiście przez prof. Kędrę, z centralnego banku rozruszników w Warszawie. Każdy chory otrzymuje rozrusznik bezpłatnie, może warto więc wspomnieć, że jego cena waha się w granicach 400-600 dolarów, a pojedynczy egzemplarz starcza zaledwie na 3-3 lata, po czym trzeba instalować nowy, najczęściej szwedzki, czasami amerykański lub włoski. Dla ludzi, którzy przekroczyli siedemdziesiątkę i mają tzw. bloki serca, jest to właściwie jedyny środek przedłużenia egzystencji, zapewniający dobrą sprawność fizyczną. Bywa przecież, że ratuje życie ludziom znacznie młodszym, nawet kilkunastoletnim. Od 1969 r. do dziś wszczepiono rozruszniki 60 chorym.

29 innych chorych nie zgodziło się na przeprowadzenie zabiegu, tym samym własnowolnie skracając sobie życie. A przecież w tej chwili specjalista z Oddziału Kliniki tak opanował zabieg wszczepienia, że właściwie nie następuje on większych trudności. Tyle tylko, że jest trudny, co znów nie znaczy, aby łatwy był w nieskończoność. Na początku, to prawda, trwał cztery, a nawet sześć godzin, obecnie ogranicza się do maksimum dwugodzinnego zabiegu. Tylko w 3 wypadkach nie udało się zablokować końca elektrody w komorze, co zmusiło do operacyjnego otwarcia klatki piersiowej w celu przysyrcia końcówki do serca. Zdarzyło się też, że pudełeczko o rozmiarach 1 x 4 x 3,5 cm uleciało do brzucha pacjentki, skąd wyjęto je przez cięt, przymocowując w odpowiednim miejscu. Ponad siedemdziesięcioletnia kobieta czuje się dziś całkiem dobrze.

Dokończenie na str. 8

Kamena str. 7

LADNY to był pomysł kierownictwa lubelskiej sceny dramatycznej — przygotowanie na tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru premiery „Fircyka w zalotach” ze specjalnym, reprezentacyjnym Prologiem ku uczczeniu 200-lecia Komisji Edukacji Narodowej. W ten sposób niby jakowaś nie mocna została przeciągnięta od lat dawnych do dnia bieżącego, od kultury narodowej — do międzynarodowej.

Autorem Prologu jest znany reżyser Józef Słowinski, który też objął pieczę nad całością spektaklu. Jego reżyserski modus procedendi należy zalecić wszystkim inscenizatorom troszczącym się o tak zwane przybliżenie klasyki do współczesnego widza. Miał brutalnie ingerować do tekstu Zabłockiego w charakterze „współkreatora” jego komedii, Słowinski przydaje jej na wstępie w postaci quasi jednego z „Obiadów czwartkowych”, wzorowo krótką, a wymowną, zgrabną „akademię” XVIII-wieczną, w której prezydium zasiadają po prawicy i lewicy króla Stanisława Augusta: Naruszewicz, Trembecki, Węgierski i sam twórca „Fircyka” Zabłocki, będący także długoletnim sekretarzem wspomnianej Komisji, w tym roku ze wszech miar czi godnej Jubilatki.

Na dialog nobliwie biesiadujących postaci składają się cytacje autentycznych wypowiedzi z epoki, niekoniecznie przynależnych w każdym wypadku do osoby, która wygląda daną sentencję, stając się tedy po prostu

czynów... I upominać upartych rodaków, żeby zechcieli przerwać słodczy nierząd.

Albo i to:

A kto chce utrzymać rząd szczęśliwy, musi wszystko widzieć, a wszystko widząc, rozumieć, iż nie z aniołami ma do czynienia jeno z ludźmi. Zganić, pochwalić i czynić sprawiedliwość. Wielce to trudne.

la Polskiego Wielkiego Książęcia Litewskiego etc Pana Miłostwego. Przy podaniu na posiedzenie czwartkowe tej Komedii — stanowi zrzeczne przejście do właściwego opisu. Rychło też dwaj lokaje w liberlach unoszą wżwzy płachtę z napisem: FIRCYK W ZALOTACH, następuje krótkie zaciemnienie, wypełnione kilkunastoma taktami

Józef Słowinski zrobił dużo dla ożywienia akcji „Fircyka”, wplatając w dialog różne zabawne działania własnego pomysłu. Do najładniejszych należą m. in. ubieranie się eleganta, które wprowadza szczyliwą „dywersję” wizualną do podstarzałych jak na dzisiaj peror Fircyka de publicis. Podobnie się widowni również przemarsz kucharzy z półmiskami w momencie, kiedy Pustak wylicza przygotowywane na ucztę specjalne kulinarne. Poza tym cieszy też oko końcowy układ tańca, który zawdzięczamy znanemu choreografowi Jerzemu Kaplińskiemu. Nie brak także tu i ówdzie śmiesznych gagów przywodzących na pamięć jeszcze komedię promolierowską.

Najwięcej humoru z natury rzeczy, tj. z natury samego utworu, dostarczają do spektaklu słodzy, Paweł Nowisz bawi publiczność przy każdym ukazaniu się na scenie — pozorną, wiejską flegmą Pustaka, jego „cierpięctwem”, podsztywnym spryciem służącego dorabiającego się przy panu. Z kolei Piotr Suchora jest przeźabawny jako Świątek, miejski kamerdyner, pozujący na elegancika, dość oddanego wszakże swemu panu-utracjuszowi. Doskonale wypadła w akcie III scena „powiększenia szans” Fircyka u Podstoliny.

O Piotrze Wysockim pisałam kiedyś w recenzji pt. „Tartufe playboym” („Kamena” nr 6 r. 1970) — przepraszam za autocytatę:

„otrzymaliśmy hipokrytę całkiem trafnego u intonacjach i mimice, którego warunki czynią jednak tak dalece atrakcyjnym, iż obawiam się naprawde, by wszystkie licealistki przyglądające się jego poczynaniom z Elmira nie zadurzyły się w nim na zabój. Nie lada kłopot będą mieli wykładowcy literatury.

Otóż tym razem kłopotu nie będzie: atrakcyjność Wysockiego wręcz predestynuje go do grania tytułowej roli „Fircyka w zalotach”. Jest pełen wdzięku i błyskotliwej werwy.

Trafnie też powierzono Witoldowi Lisowskiemu śmieszna postać zrzednego Arysta, jak wiadomo, przyćmiewającego prowincjusza, antytezy Fircyka.

Pań: Zofia Stefańska w roli Podstoliny i Barbara Wronowska jako Klarys, wykorzystują cały swój wdzięk i doświadczenie aktorów, by uatrakcyjnić postacie kobiet, które jakoś często nie mają szczęścia do najlepszego tekstu ani u Mollera, ani u naszego Zabłockiego. Wyglądają uroczo, mówią swoje mniej lub więcej anemiczne kwestie z rzetelnym nakładem wyrazu.

W Prologu godnie reprezentowali warsztat aktorów: Ryszard Palczyński (Król), Witold Zarzycha (Naruszewicz), Zbigniew Szejman (Zabłocki), Henryk Sobiech (Węgierski) i wymieniony już Witold Lisowski (Trembecki). Spiega na umór Prawnika, polską wersję molierowskich rejentów, gra z powodzeniem Stanisław Małeszewski.

W sumie — idźcie, Państwo, do Teatru Osterwy na „Fircyka”!

Póki jestem jeszcze przy głosie, dorzucę, iż ostatnio zespół administracyjny lubelskiej sceny dramatycznej mnoży pomysły sprzyjające wykonaniu planu finansowego placówki: programy udzielają miejsca ogłoszeniom handlowym, na proscenium odbywają się w atrakcyjnej formie. Nie w tym nagannego, wolę komercjalizm w administracji teatru niż w jego repertuarze. Byłoby uniknąć „Trędowatej”.

A najpełniej nobliwym pomysłem dyrekcji Teatru im. J. Osterwy było zaproszenie Włodzisława Glińskiego na kilka występów w roli ex-dyplomaty z „Klik-kłaka” Abramowa. Przysporzyło to bez wątpienia publiczności na widowni, nie wyrządzając krzywdy lubelskiemu aktorowi, S. Olejnikowi, o którego sukcesie pisałam po premierze komedii (v. „Kamena” nr 2 rb. „Allegro moderato”). Obydwie koncepcje postaci są interesujące. Znakomity aktor warszawski gra Teodora bardziej zramolalego, wkładając jednak tyle werwy w scenę poplajwy z części II, że jego animusz zda się podwyższa promil alkoholu we krwi reszty męskiej obsady sztuki. Gliński dodaje ciekawą opowieść z balu przedwojennego i przyjemnie nuci fragmentek niemieckiej piosenki popularnej chyba w zaborze austriackim.

Wytworne zaloty

Maria Bechczyc-Rudnicka



Franciszek Zabłocki — „Fircyk w zalotach”, Zofia Stefańska (Podstolina) i Piotr Wysocki (Fircyk)

Fot. CAF (Z. Jaskiewicz)

Menuetu Bocheriniego (który potem będzie od czasu do czasu towarzyszył spektaklowi) i oto już mamy przed sobą nowoczesnie stylizowane białe XVIII-wieczne wnętrza, które zdobywa również same komplementy dla Targońskiego swoją wytworną lekkością.

O „Fircyku w zalotach” wszystko z dawien dawna zostało „uczenie” powiedziane. No, może nie „wszystko”, ale na pewno przynajmniej tyle, ile należy i warto. Toteż starannie opracowany program Teatru im. J. Osterwy ogranicza się do minimum truizmów, spuszczając się na sprawnie przygotowanie młodzieży szkolnej przez polonistów i kładąc raczej nacisk na „rehabilitację” postaci Fircyka.

Z tą, rzec by można, funkcjonalną swego czasu „rehabilitacją” wystąpił Juliusz Saloni w n-rze 1 „Lodzi Teatralnej” sezonu 1947/48, oczywiście przy okazji wznawienia sztuki na jednej ze scen łódzkich. Dziś nie zachodzi już niejako pilna potrzeba rehabilitowania czarującego galanta, o którym wiemy, że jest trzpiotem inteligentnym i dowcipnym, nie pozbawionym zdrowego rozsądku, rzucającym czasami od niechcenia lub z przekory świątliwą myśl, krążącą w sferach oświeconych jego epoki. Nie ma potrzeby, powtarzam, bo „aforyzmy” Fircyka reprezentują, jak by powiedział Włoch, tempi passati. Dziś mamy „fircyków” z całkiem innej „parafii”. Lecz rzeczona „rehabilitacja” sprawnie służy zrzecemu „przybliżeniu do współczesnego widza”, które podjął reżyser w Prologu, tedy nie wadzi. Słowem całość „gra”, jeśli wolno zwulgaryzować tym nowoczesnym określeniem superestetyczny spektakl Słowinskiego.

Jego inscenizacja zaleca się przednimi pomysłami. Wiemy przecie, że „Fircyk” nie jest „samograjem” reżyserskim. Intryga, zapożyczona od Romagnésiego — blaha, wręcz nijaka. Wyborny natomiast ma ta komedia dialog. Słusznie pisał w 1936 r. Marian Szykowski („Dramat w Polsce”), że komizm Zabłockiego nie jest sytuacyjny, ale głównie słowny, oparty na werwie słowa, na dialogu żywym, barwnym i ciętym, na wyrażeniach trafnych, obrazowych, chociaż niekiedy rubasznych. Nawiasem mówiąc, to „chociaż” brzmi dzisiaj nieco anachronicznie.

Czy trzeba mówić, ile trudu reżyserskiego i aktorskiego wynika z wyżej wymienionych cech komedii Zabłockiego? Rzecz paradoksalna: Zabłocki pisał niezmiernie dowcipnie niż autor komedijki „Le Petit-maitre amoureux”, tymczasem stworzył dialog jak gdyby dla aktorów francuskich, celujących w szermierce dialogowej.

porte-parole zbiorowej, że tak powiem, mądrości najprzedniejszych umysłów obozu Oświecenia. A wiele z powiedzianego brzmi nader aktualnie dla dzisiejszej widowni. Nie wadzi, np., że rozsądny widz w pełni zaakceptuje takie zwierzenie się Naruszewicza: *Nam, parającym się pisarstwem, nielutnia droga przypada w udziale. Mamy kraj utwierdzić w szlachetnym myśleniu sposobie oraz do najchwałobniejszych zachęcać go*

Zalste trzeba być dotkniętym wyjątkowo ciężką znieczulicą, by zakwalifikować te myśli jako „dretwą mowę”, zwłaszcza gdy wygłaszają je, na tle pięknego arrasu z postaciami mitologicznymi i cyfrą królewską, osoby w prześlicznych kostiumach, zaprojektowanych przez Teresę Targońską.

Ostanim mówcą jest Franciszek Zabłocki. Fragment jego Ody adresowanej do „Najjaśniejszego STANISŁAWA AUGUSTA Kró-

temu okres ten równał się dwu miesiącom.

Do dalszej rehabilitacji w Należczowie kieruje się ok. 60 proc. chorych na zawał; ludzie zbyt starzy i ciężko chorzy nie mogą brać udziału w odpowiednich ćwiczeniach fizycznych. Na tym jednak nie kończy się kontakt Kliniki z byłymi pensjonariuszami. Po opuszczeniu Należczowa uczestniczą oni w rehabilitacji ambulatoryjnej: mimo ogromnych trudności udało się w szpitalu uruchomić gimnastykę leczniczą dla 20 chorych. Te trudności, wpływające na liczebność grupy, to przede wszystkim brak absolwentów uczelni wychowania fizycznego, przygotowanych do prowadzenia tego typu zajęć. (Na co wypada zwrócić uwagę Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ponieważ zjawisko ma zasięg krajowy).

Inną formą leczenia ambulatoryjnego, zainicjowaną 16 lat temu z chwilą przyjazdu profesora Kędry do Lublina, formą, która zakresem i wieloletnim stosowaniem zdecydowanie wyróżnia nasz ośrodek w Polsce, jest długotrwałe leczenie lekami przeciwkrzepliwymi, zapobiegające powtórnym zawałom serca. Objęto nim 400 chorych, a uzyskane doświadczenia stały się podstawą prac naukowych. Stwierdzono, że śmiertelność w grupie przyjmujących leki jest o połowę mniejsza od tej, jaką obserwuje się wśród osób po zawałach — nie pobierających tych środków. Leczenie to wymaga bardzo akrapulatnej kontroli lekarskiej; opiera się o węgierski „Synkumar”.

Zawały i naciśnienia określają główną problematykę naukową Kliniki. Łatwo zauważyć, że narzuca ją samo życie.

Takie na przykład naciśnienie jest dziś chorobą powszechną, ok. 2 milionów Polaków wymaga stałego leczenia. Tymczasem zaledwie w ok. 20 proc. udaje się ustalić przyczynę tego schorzenia. Reszta należy do tzw. naciśnienia pierwotnego, czyli uwarunkowanego genetycznie; człowiek rodzi się z jakimś ujemnym genem, destrukcyjnie wpływającym na jego zdrowie. Ale samo rozpoznanie przyczyn choroby w zakresie owych 20 procent jest niesłychanie trudne, wiąże się ze skomplikowanymi badaniami biochemicznymi i radiologicznymi. Uchwylenie źródła schorzenia umożliwiłoby często pełną jego likwidację. Jest to jedno z największych osiągnięć medycyny ostatnich lat, rozwijane w praktyce również przez ośrodek lubelski. Prowadząc pełną diagnostykę naciśnienia tętnicznego, należy do trzech w Polsce zajmujących się tym zagadnieniem w sposób kompleksowy.

Wśród aktywów ośrodka trzeba jeszcze wymienić organizację Wojewódzkiej Przychodni Kardiologicznej, czynnej od 1 marca 1973 r. Uruchomiona jako czwarta z kolei w kraju, po wielu korowodach, przysyła dziennie w trybie konsultacyjnym 50—60 osób z całej Lubelszczyzny. Tylko ośrodek dysponujący odpowiednio liczną kadrą kardiologów może pozwolić sobie na takie poszerzenie działalności. W tej chwili 10 kolejnych internistów zdobywa specjalizację z zakresu kardiologii.

Przy okazji warto zwrócić uwagę, że przez Klinikę Kardiologiczną w Lublinie przeszli, wzbogacając wiedzę, niemal wszyscy internści szpi-

tali i stacji pogotowia ratunkowego województwa. Sam profesor Kędra wychował 21 doktorów medycyny i doprowadził do habilitacji 3 osoby. Obecnie 8 lekarzy kończy doktoraty, a trzech doktorów przygotowuje się do habilitacji. Dorobek naukowy profesora określa też liczba 200 prac, opublikowanych w czasopiśmie krajowych i zagranicznych, z których niejedna inspirowała badania przedsięwzięte przez polskich i obcych naukowców. Od 16 lat profesor jest redaktorem „Polskiego Tygodnika Lekarskiego”, najpopularniejszego czasopisma medycznego w kraju, oraz zasiada w Komitecie redakcyjnym „Cor et Vasa”, specjalistycznego pisma o zasięgu międzynarodowym, które ukazuje się w Pradze. Współpracownicy profesora ogłosili 400 prac, korzystając z jego inspiratorskiej pomocy, z jego wiedzy i krytycznego widzenia problematyki medycznej.

Urodził się 39 lat temu w powiecie brzeskim na Rzeszowszczyźnie. Studiował we Lwowie (także stomatologię), doktoryzując się w 1939 r., rok po ukończeniu Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po wojnie przebywał kolejno w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie, w roku 1957 trafił do Lublina.

Habilitował się w wieku 36 lat, jako wolontariusz; nigdy nie był etatowym asystentem. Profesorem nadzwyczajnym został mając 39 lat, zwyczajnym — 49.

Ireneusz J. Kamiński

Serca w remoncie

Dokończenie ze str. 7

śmierci człowieka. Po dotarciu do serca chirurg palcem (lub przyrządem) rozrywa zrośnięte zastawki, no i po pięciu dniach pacjent staje na nogi o własnych siłach.

Dzięki temu chorzy z Lubelszczyzny nie muszą już tracić czasu i resztek zdrowia na poszukiwanie miejsca w szpitalu poza obszarem województwa. Co przeszkadza w wykonywaniu bardziej skomplikowanych operacji, łatwo odgadnąć: brak odpowiedniej aparatury do dokładnej diagnostyki złożonych wad serca i reanimacji. Owszem, można kupić takie cudo — jeśli posiada się 100 tysięcy dolarów!

Po operacji serca pacjent trafia na miesięczną rehabilitację do Należczowa. Spotka tam niedawnych podopiecznych Oddziału Intensywn-

nej Opieki Kardiologicznej, którzy obronną ręką wyszli z zawału. Jednak ta grupa wcześniej rozpoczęła powrót do fizycznej i społecznej pełni życia, bo jeszcze w salach rehabilitacyjnych Kliniki, codziennie rano uczestniczą w specjalnej gimnastyce; niektóre łóżka znajdujące się w tych salach mają ruchomą konstrukcję, która za naciśnięciem guzika na wężnym pudełku sterowniczym zmienia swój układ zgodnie z życzeniem użytkownika — kosztuje takie łóżko 25 tys. zł.

Wspólnie z chorymi po przebytym zawałach leżą w salach rehabilitacyjnych Kliniki ludzie odebrani śmierci. Jeden z nich: 72 lata, twarz szarżółta, niewysoki. Nie uświadamia sobie, że był już jedną nogą na tamtym świecie, rwie się do wznoczeń, które „bez niego zginą”. Po siedmiu dniach pobytu w Klinice chciał iść do domu, idzie — po 17.

Jednym z poważnych osiągnięć ośrodka lubelskiego jest skrócenie do 15—17 dni czasu hospitalizacji chorych na zawał; nie tak dawno

Kamena str. 8

O D rzeki ciągnął słodki zapach pomarańcz przewożonych kamiennymi barkami. Wąskie kamieniczki poruszały się w wodzie odarte ze swojego uroku. Gromady skłóconych ptaków obsiadały granitowe wzgórza. Dzieci rozwrzeszczały się na kamiennych podwórkach, a ziemia była twarda od jesieni, jak kamień. Trzepotały te ptaki skrzydłami w niebo, jak by chciały przepłoszyć brudne, rozdęte chmury, a ja szedłem ramie w ramie z garbatym człowiekiem; stąpaliśmy po wilgotnym bruku wspinając się pod górę i schodząc w dół, z powrotem między osłonięte, kostropate dachy. Popatrzyłem na zegarek. Teraz był to tylko ruch ludzkiego zazenowania. Dochodziła czwarta.

— Nie muszę sobie łamać głowy — mówił. — Mam wszystko przy sobie, jak na zawołanie.

Trzymał pod pachą płaską czarną walizkę, która rozepchnana po bokach przypominała torbę akuszerską, chociaż nigdy nie widziałem takiej. Jego chuda, koścista twarz, z wystającym podbródkiem przypominała jedno z tych czarnych stworzeń wirujących nad nami, jak przeznaczenie.

Nie lubiłem tej pory dnia. Może to uczucie było we mnie od samego początku, a może posiadam je w ten zamglony dzień, kiedy moja córka przywołała tamtego człowieka. Zobaczyłem ich przez szybę kuchenną porośniętą deszczem, jak szli przez pustą wilgotną podwórkę, już połączeni fizycznie, a jeszcze nie duchowo. W sposobie, w jaki schyliła głowę, by mnie przywitać spozatrzenie niecierpliwość, która była w niej czymś nowym. Wtedy ten jej gest otworzył przede mną przyszłość tak jasno i krótko, że prawie się rozplakałem.

— Najgorszą rzeczą są ludzie — mówił garbus. — Nie można zabrać ich ze sobą, a ciężko zostawić. Bóg uchronił mnie od tego w swej dobroci.

Zamilkł. Szleścił powietrza, jak gładzie twardego papieru.

— Przy moim wielkim udziale. To prawda — dorzucił.

Szelest powietrza i taniec drzew, wolny i pełen godności.

Oddalaliśmy się od rzeki, oddalaliśmy się od ciężkiego zapachu wilgoci. Mrok ciemnieje dostrzegalnie.

Może dlatego, że tak mocno postanowiłem ją przed tym uchronić właśnie tak się stało. Nie, to byłoby zbyt proste.

— Wszystko teraz rośnie — mówi stary goniąc swoje własne myśli — i za dużo wszystkiego się ueziera, żeby można to zmieścić obok siebie. Żeby można sięgnąć ręką i już to mieć.

Zegnałem ich na osmolonym dworcu przeciskając się gorączkowo między pustką a wściekłością. Bardzo chciałem zatrzymać oczami drgnięcie kół. Dotknął mojej dłoni z nieprzejędną nieufnością. Dotknęła moich policzków obcymi ustami i pojechali w swoją wielką krzątaninę, a ja wracałem broniąc się przed obrazem jego pochylającego się teraz nad nią z ulgą, wciągającego ją w ten nowy, ale już jej świat, teraz bogatszy i peł-

niejszy niż ten, który ofiarowałem jej ja. — Nie ma też teraz pewnych miejsc — mówi garbus zerkając na mnie. — Nawet zasłonki na okna są cienkie i przezroczyste jak szkło. Gdzie pan się schowa? Bóg oszczędził mi tego pytania.

Schroniłem się w sztuczny świat ruchliwości i naturalny muzyki, delikatnej i bezpiecznie odległej. To przed czym bronili się skutecznie jeśli pochodziło ode mnie, stało się jej bliskie, gdy wyszło od niego. Pocięciem wiedzieć, że mój czas przeminął i próby odwrotu od tego są dziecinnie nieodpowiedzialne. Siedziałem samotnie przy wygasłym palenisku dławiąc się jego pewnością siebie i jego świadomością przewagi i jej przyszłym upadkiem.

Suche ręce garbusa dotykają pieszczotliwie torby. Ten gładki prostokąt przypomina mi o rozedrganym dniu, kiedy to się dokonało. Co myślała? Co czuła, wkraczając z gorączkową determinacją w ten krótki gest? Kogo spotkała błądząc po ulicach w ciepłym, przedwieczornym deszczu, niewidoma i nieczuła wobec garbatego człowieka?

— Powiadam panu, to wielkie szczęście, że Bóg zezwolił na mnie jasność zanim stanęliśmy tu, gdzie stoimy — mamroce. — Ześlą mi kalectwo, bym lepiej widział. Objawił mi mały srebrny dom, który można wziąć na plecy i zabrać w drogę, by zawsze go mieć. Mały domek, w którym można zmieścić się tylko samemu. To coś innego niż obnoszenie samotności. To coś zupełnie innego. — Chyba dotknął mojego płaszcza.

Migają pierwsze światła. Dławi się w nich ludzka nieporadność i ludzki brak odwagi, ale wyczuwam też w nich szukające się ludzkie zespolenie.

Dotykał jej rozsypanych włosów i przytulał do niej swoje spocone ciało. Jej miękkie dłonie, które zamykałem w swoich, by dodać jej odwagi pieściły jego skórę, a on patrzył na mnie niebieskimi oczami, w których nie było oddania, oczami, które przypominały mi aseptyczny szpitalny pokój pełen ostrego światła. Czy myślała wtedy o mnie? Nie, wtedy musiała myśleć tylko o sobie. A może to ja ją opuściłem?

Drobny człowiek depta ziemię ufny krokami. Potykamy się. Trzymał się mnie. Cały czas szedł uciepiony kurczosko mojego ramienia, ze swoim srebrnym małym dom-

kiem, który dawał mu pewność bezpieczeństwa i miał chronić go także przed tym wszystkim, co było w nim samym.

Oglądaliśmy kolorowe filmy. Siedzieliśmy cicho, przytuleni do mojego boku i zasłuchani. Ale to on ją wciągnął w to drgające, kolorowe, ruchome światło. Zabrał ją i zostawił w brzydki, śmierzdzący, miejski dzień. Musiała słyszeć tykanie błyszczącego wnętrza i czuć go w sobie.

— Bóg uchronił mnie od pozostawienia jej gdziekolwiek poza zasięgiem mojej ręki. Jest już teraz moją częścią. — Znowu pięści palcami ceratowe boki torby.

— Jest w niej wszystko, czego mi potrzeba i jest ona tak mała, że utrzymuje ciepło, jak termos. Niech pan dotknie. Proszę, niech pan przyłoży tu rękę. — Szorstkie palce tarmoszą moją dłoń.

— Odwal się pan!

Miasto przywitało mnie zapachem dymu i kwiatów, rozstawionych na kolorowych straganach i wielkim pośpiechem pozabawionym godności. Jeszcze nie padało, ale w ciepłym wietrze drgały już pełne krople. Jechałem niebieskim autobusem, który pachniał lizolem, potem i nakrochmalonym płótnem. Mijałem dziewczyny z upartymi twarzami, w długich płaszczach pełnych wiatru i budki z owocami i zapomniane nocne światła i małe sklepiki pachnące bułkami i słodkim zapachem mleka. Przyrykałem oczy, by nie zaglądać w okna pełne głów pochylonych nad stolami. Szedłem wąską brudną klatką, skrzypiącymi schodami pod górę, schodami, które znały dotyk jej stopy. Szedłem podparty na poręcz, która znała ciepło jej dłoni dopóki nie stanąłem przed niebieskimi drzwiami, których kolor przypominał mi koszary. Słuchałem przez chwilę ostrego dźwięku, który przebiegał korytarz i wcisnął się do tamtego wnętrza, jakby owinięty w kawałek wilgotnej waty. Stał przede mną wysoki i zdrowy ze skurczoną od snu (a może od płaczu?) twarzą, na rozstawionych lekko nogach, jak żołdak i popatrzył na mnie z nadzieją, która trwała mgnienie oka. Wpuścił mnie do nagrzanego wnętrza, pachnącego rozgotowanymi jarzynami, a ja wiedziałem, że te ściany znały ją i poranne światło także.

— Jest na Skłodowskiej — powiedział. — W klinice. Zaraz się ubiorę. — Odwrócił się, a ja patrzyłem na jego chude łydki widocz-

ne spod przykrótkiej pizamy. — Tak mi przykro — odwrócił się nagle. — Jak to było? — zapytałem obcym głosem.

— Zobacz pan sam. Ja... — Ciężka — nie mogę... — Twarz ściągnęła mu się jak u starca i rozplakał się. Przez krótką chwilę czulem roztępnego pragnienie, by wziąć na ręce tego roztępnego gówniarza, jak kiedyś ją. Podszedłem szybko i tamto wszystko, co gromadziło się we mnie od tamtego pierwszego popołudnia włożył w to uderzenie. Schodziłem brudną wąską klatką odurz-



Bys. E. Ingliot

ny i niewidzący, jak ona tuż przed tym. Biegłem po ulicy zaczepiając ludzi i rozpytujać o drogę. Patrzyli chwilę za mną, oglądali się, a potem ruszali dalej w swój marz do codzienności, ale szczęśliwsi niż przed chwilą, bo pełni domysłów.

Stałem przed brylowatym, nierównym budynkiem z czerwonej cegły patrząc na białe półuchylone drzwi pełne rozkreconego, migającego światła. Upadłem na kolana dotykając głową wilgotnych prętów ogrodzenia, a nade mną, wysoko w chmurach i dymie kolowały milczące ptaki.

— Pan Bóg uchronił mnie...

— Do diabła z twoim Panem Bogiem! Do diabła z nim! Zabieraj ten swój domek i jazda stąd! Do diabła z nim! Do diabła!

Mały garbaty człowiek umyka blisko ziemi w dół zbocza. Potyka się, przewraca i mknie dalej, a mnie ogarnia śmiech, szarpie mną i dławi mnie i porywa.



Rys. W. Fuglewicz

Jerzy Leszczyński

Refleksje

Piwo jest napojem chłodzącym zapał do pracy.

Przepisy bokserskie — to prawo pięści usankcjonowane prawem.

Nadzieja jest jedyną dobrą stroną niepewności jutra.

Ptasi mózdzek nie przeszkadza sobie być symbolem mądrości.

Strzeżmy się, aby kuracja odwykowa nie stała się nałogiem.

Podstęp jest jednym z najbardziej znanych sposobów podejścia człowieka do człowieka.

Można nie dawać sobie rady — trzeba tylko umieć dać radę innym.

Zbigniew Uchnast

Myśli pozłacane

Każdy z nas bywa raz na wozie, raz pod wozem, z tym że u niektórych tym wozem jest „Fiat-125”.

Ciekawe czy powiedzenie: „zjadłem na tym wszystkie zęby” dotyczy także zęba mądrości?

Często cały czar czterech kółek rozbija się o głupie prawo jazdy.

Wielu ludzi uważa, iż o ich zdrowie powinien dbać przede wszystkim lekarz.

Niedobrze jest, jeśli kobiecie przynosi dziecko bocian, będący niebieskim ptakiem.

Prawdziwych przyjaciół poznajemy wtedy, kiedy potrzebujemy żyrantów.

L a b i r y n t

Stanisław Mazur

KIEDY spał jeszcze, mógł kojarzyć się z postacią cyrkowego wesolka. Ale radio zapowiedziało wół do szóstki. Rozległo się przeciągłe: aaaa... a potem krótki chrząst prostowanych kości. Pokój wypełnił się papuzim kolorytem pidżamy człowieka, który już wcześniej opuścił ciepłe miejsce pod kołdrą. Mycie, golenie, a potem ulubiona fuga schwytna przez magnetofonową taśmę.

Cała clownada spłynęła już z człowieka i osiadła spokojnie na różnych domowych sprzętach. A ta czelkoksztalna biel zaczęła tonąć nagle w szarości; stopniowo od stóp, poprzez biodra, aż sięgnęła karku. I muzyka urwała się. Radio zapowiedziało wół do siódmej. A jeżeli ktoś wówczas wyjrzał przez okno, zauważył jak z bramy oderwała się ciemna plama, a potem traciła swój ostry kontur i rozplywała się w szarej mazi.

...A tam gdzieś daleko zielona laska przymierzała nowe korale, które otrzymała w spadku po nocnej ulewie. Słońce przymierzało swoją twarz do przed chwilą zastanej sceny. Człowiek czuł, że w miarę przebywanej drogi robi się coraz zimniej. Osiągnął już samo serce tej największej na świecie chłodni.

Człowiek widział już coraz mniej. Mrok gęstniał. Końcami palców czuć było tylko zimną chropowatość cegieł. Człowiek przesuwał ręką, ale trafiał jedynie na cementowe spojenia geometrycznie ułożone w kształt kraty. Cement między dwiema cegłami przypominał krem ściśnięty wafkami.

Nagle człowiek stracił równowagę. Upadł i przestał równocześnie wdychać powietrze do płuc. Tysiące stóp wdeptywało jego ciało w rozmożdżoną ziemię.

Sztuka na później?

PRZYŚLUCHIWALEM się niedawno dyskusji na temat bardzo starej, a przez to tak rozważanej, że aż śmiesznej. Chodziło o stan i metody upowszechniania sztuki. Artystom, jak w XIX wieku, marzy się panowanie nad zbiorową wyobraźnią, może nawet rola ideologów czy proroków, kształtujących świadomość społeczną. Co ja mówię: Josephowi Beuysowi nie się takiego nie marzy, albowiem ten niemiecki artysta już dawno występuje we wdzianku polityka. Na ostatnim „Documenta” w Kassel uprawiał coś w rodzaju propagandy politycznej, opartej na ujmującej swoim optymizmem zasadzie filozoficznej: kiedy sztuka bezpośrednio wejdzie w życie, znikną wszelkie plagi, trapiące od tysięcy lat ludzkość, a zatem wojny, oszustwa, grabieże, nienawiść i niesprawiedliwość. Zapanuje stan powszechnej szczęśliwości, gatunek zjednoczy się w plawiące się w radości społeczeństwo socjalistyczne! Wypada żałować, że Beuys nie

urodził się 200 lat temu: może, po zdobyciu szerokiego poparcia, udałoby mu się zaprowadzić na Ziemi ład wymarzony? A my byśmy korzystali...
 Więc na tej dyskusji w warszawskim Domu Artysty Plastyka kwiłono strasznie, wskazując odważnie na przyczynę społecznego kryzysu plastyki, a jeden z mówców miał za złe redakcji „Nowych Drog”, że w wyjątkowych tylko wypadkach poświęca nieco uwagi plastyce. Inny, już na początku wystąpienia, w świetnym stylu rzucił pod nogi zebranych figurę retoryczną, równoznaczną z pytaniem: „czy na sali są przedstawiciele mecenatu społecznego?”. Nie czekając na ujawnienie się porządku, audytorium wybuchło gorzkim śmiechem. I miało rację, choć faktów nie należy uprzedzać: na ogólnopolskim seminarium na temat obecności sztuki wśród szerokich mas, na które zaproszono dyrektorów przedsiębiorstw i kierowników jednostek administracji państwowej, przybyli przedstawiciele: Stołecznej Rady Narodowej i ktoś z Krakowa. Kilka miesięcy później sytuację skopiowali potencjalni mecenasi Lubelszczyzny: żaden z dyrektorów zakładów pracy, zaproszonych imiennie na organizacyjne posiedzenie Zespołu do Spraw Plastyki przy Wojewódzkiej Komisji Rozwoju Kultury, nie raczył uświetnić swoją osobą owego spotkania. Żaden. A tylko jeden raczył przysłać coś w rodzaju wyjaśnienia swej nieobecności.
 Tak, tu i ówdzie marzy się artystom rola ideologów, polityków. Ale w Polsce marzy im się sytuacja trywialnie prosta: chcieliby, żeby ogół uznał efekty ich działania za warte i, a więc coś, co godne jest szczególnej uwagi i takich zabiegów. Może w tych pragnieniach tracą czasami proporcje, może nawet kierując się niedzielną mitologią wierząc w cele utopijne.

Mecenat państwa i jego wyspecjalizowanych instytucji jest pokazywany, lecz nie rozważają sprawy wprowadzenia sztuki w świadomość społeczną. W zrozumieniu ogromnej większości obywateli twórczość artystyczna nie jest czymś ważnym, czymś, co może konkurować z dobrem materialnym. Mówi się, że w kraju niezbym zamożnym i spódnym się do wielkiego przewrotu naukowo-technicznego, a więc z konieczności zaprzestano w materiałny, wymierny konkretny, sztuka automatycznie skazana jest przynajmniej na okresową obojętność ogółu i nie ma sensu marudzić. Kiedy Polacy zasiądą za kierownicami „Fiata 126 p”, kiedy będą syci powoję uszu, o wtedy rzucą się w rejony kultury, spragnieni duchowej strawy. Nie. Wtedy już będzie za późno, bo łuki w normalnym rozwoju kultury funkcjonują jak głębokie przepaście.
 Co robić? Nie stać mnie na inną odpowiedź poza spodziewaną zapewne przez czytelnika: rozwijać edukację estetyczną Polaków w sposób kompleksowy, od lat szkolnych. Jak? Tu właśnie problem, jako że wystawy plastyczne i prelekcje obliczone na popularyzację sztuki mają ograniczony zasięg oddziaływania, a środki masowego przekazu wyraźnie odwróciły się od twórczości artystycznej. Przykładowo: na 11 890 tytułów, jakie opuściły wydawnictwa krajowe w 1971 roku, zaledwie 133 dotyczyły plastyki, z czego 48 to albumy, a więc publikacje drogie, po 100, a nawet 400 zł, które latami zalegają księgarnie, ewentualnie półki prywatnych bibliotek, gdzie trafiły jako okazjonalne upominki — przypadkowo, bez uwzględnienia zainteresowań odbiorczych osób. Jeśli chodzi o pisma wyłącznie plastyczne, to dwumiesięcznik „Projekt” kosztuje 40 zł i adresowany jest do czytelnika bardziej zaawansowanego, właściwie do plastyków, co dotyczy również „Przeglądu Artystycznego”. Niczym nie udało się dotąd zastąpić różnico-

wanych pod względem specjalizacji, zawsze przecież świetnie redagowanych, periodyków z lat międzywojennych, takich jak „Głos Plastyków”, „Nike”, „Arkady”, „Sztuka i Kultura”.
 W tej niezbyt radosnej sytuacji chciałbym więc zwrócić uwagę innych miast kraju na znakomite dydaktyczne posunięcie Wydziału Propagandy KW PZPR w Lublinie. Od ponad roku w holu Komitetu prezentowane są wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby i fotografii artystów lubelskich, zmieniające co dwa — trzy tygodnie i zaopatrzone w zwieszki, lecz rzucające się w oczy informacje o autorze ekspozycji i jego twórczości. Komitet jest miejscem, przez które codziennie przewijają się dziesiątki, czasem setki osób kierujących różnymi placówkami życia społecznego i gospodarczego województwa, decydujących o kształcie lokalnych hierarchii. Gmach KW PZPR w Lublinie jest miejscem edukacji estetycznej, miejscem, gdzie naocześnie, w praktyce udowadniają się, że sztuka jest sprawą ważną! Bezprecedensowa w Polsce inicjatywa lubelskiego Wydziału Propagandy oby doczekała się rychłego splotowania!
 Ostatnio pokazano tam rzeźby młodego artysty zamojskiego, Bogdana Markowskiego, jednego z animatorów życia plastycznego tego miasta, członka powstalej niedawno „Grupy Zamojskiej”. Urodzony w 1945 r. w Lublinie, dyplom gdańskiej PWSSP otrzymał w 1970 r. Uczestniczył w wystawach okregowych, trafił na imprezy ogólnopolskie do Krakowa i Hajnówki (plener), niedawno miał pierwszą wystawę indywidualną w lubelskim BWA. Co można powiedzieć o tej młodej twórczości? Markowski czuje materiał — z reguły rzeźbi w drewnie — ma dobre poczucie bryły. Jego rzeźby nalażowane są dynamiką, przede wszystkim są jednak czymś znacznie więcej, niż dobrą prognozą na przyszłość, o czym świadczy jeden z dzieł „Bokserów”.

IJK

POD PARAGRAFEM

Sygnalizacja

ZŁODZIEJ kradnie, młłciant łapie, prokurator oskarża, sędzia karze. Przeświadczenie to pozwala spać spokojnie praworządny obywatelom, upewnionym co do swej własności wielebnej, świętych nabytków — suoiich, wyłącznych, zapracowanych. Choć nie pozbawione racji, jest to przeświadczenie tylko potoczne; co i prymitywne, a kultura prawna naszego społeczeństwa bardzo niska.
 Oczywiście, istnieje jeszcze coś takiego jak mienie społeczne, lecz ono już nie takie święte w pojęciu ludzi, nawet nie tylko tych, co kradną i niszczą, ale i tych, co mają zabezpieczać i chronić. A ten, co przyulaszca mienie społeczne, to nie jest złodziej, tylko... cwaniak. Zresztą najczęściej cwaniak pokatany. Żadne rewelacje dziennikarskie, raczej potoczność.
 Ale może nie każdy wie, iż represja kar-na wcale nie jest jedyną formą zwalczania przestępczości przez wysoki sąd.
 Oto wielki zakład przemysłowy. Istnieje w nim coś takiego jak rurociąg amoniakalny, a przy tym rurociąg filtr powietrza, a przy tym filtrze bocznik, a przy tym boczniku kołnierza. Kołnierz bocznika filtru powietrza rurociągu amoniakalnego został akurat wyremontowany. Mistrz produkcji i remontów nie skontrolował jakości remontu kołnierza. Starszy mistrz produkcji i remontów „nie odebrał” kołnierza po remoncie, to znaczy nie dokonał fachowego odbioru robót remontowych. Starszy mistrz odcinka przygotowania gazu nawet nie obejrzał kołnierza, dopuszczając do eksploatacji nie skontrolowane złącza kołnierzowe. Eksplozja, dwóch

zabitych, dziesięciu rannych, straty w wysokości ośmiu milionów złotych. Skandal. Trzech mistrzów sędzi, skazanych z art. 136 § 2 kodeksu karnego. Więc normalnie. To znaczy normalnie, że nienormalnie — jak by powiedział Redliński.
 Ale zanim jeszcze odbyła się rozprawa przed wysokim sądem, bezpośrednio po katastrofie odpowiednie powołało komisję awaryjną, która ustaliła, że obowiązująca w zakładzie instrukcja sprawdzania szczelności instalacji jest bardzo nieprecyzyjna. Przewo dyrekcja zakładu szybko opracowała dokładny i obszerny aneks uściślający do wymienionej instrukcji oraz rozporządziła go w poszczególnych działach zakładu. A potem się akurat odbyła rozprawa sądowa przeciwko trzem mistrzom. „Mistrzom”.
 I podczas tej rozprawy okazało się, że w siedem miesięcy od wydania aneksu do wspomnianej instrukcji liczni pracownicy zakładu, zeznający przed sądem, wcale owego aneksu nie znają, choć znać powinni z racji pełnionych obowiązków. „Nie ma sposobu sprawdzenia szczelności, instrukcja nie została zmieniona” — powiedział. Więc jaka jest gwarancja, że się taka awaria nie powtórzy?
 I tu właśnie wkroczył wysoki sąd, wykorzystując swe uprawnienia do sygnalizacji o możliwości przestępstwa. Poinformował mianowicie zjednoczenie o tym, jak pracownicy zakładu znają odpowiednie instrukcje wewnątrzzakładowe. I teraz wysoki sąd czeka na działania i odpowiedź zjednoczenia. A o to właśnie idzie, żeby te działania były. I ta odpowiedź. Bo to jest profilaktyka.
 Inny przykład. Z magazynów Centrali Rybnej przekazano do sklepów ryby tak zwane przeterminowane, co się na język konsumpcji przekłada: spleśniałe i zepsute, a więc jakby trujące. Ale w sklepach te ryby smarowano olejem, żeby wyglądały jak nowe, i sprzedawano, dopóki się sprawa nie wydała, czyli ludzie potrafi. Po czym dyrekcja Centrali Rybnej wytoczyła powództwo cywilne przeciwko magazynierom o 123 tys. zł za to, że dopuścili do zepsucia ryb.
 Przy okazji tej sprawy sąd wysłał notatkę urzędową do Wydziału Handlu PWRN oraz Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej z żądaniem przedsięwzięcia

odpowiednich kroków, żeby się takie przypadki nie mogły powtórzyć. Wydział Handlu odpowiedział, że pouczył Centralę Rybną, a ta wyciągnęła konsekwencje służbowe wobec magazynierów. Natomiast Wojewódzki Inspektorat Sanitarny wydał natychmiastowy zakaz wprowadzania przeterminowanych artykułów spożywczych do handlu bez orzeczenia lekarskiego o przydatności towarów do spożycia. I to jest chyba w porządku. A Wojewódzka Stacja zapewniła, że będzie stały nadzór Inspektoratu nad wykonaniem tego zarządzenia. I to jest z pewnością w porządku.
 Weźmy jeszcze inny przypadek. Człowiek został skazany na dwa lata pozbawienia wolności za nieumyślne spowodowanie wypadku drogowego, w którym padł jeden martwy i jeden ciężko ranny. Sąd wysłał do Wydziału Komunikacji PMRN notatkę urzędową, zwracającą uwagę na niedostatkii szkolenia kierowców. Okazało się bowiem, że prawo jazdy wydano człowiekowi 69-letniemu, bez specjalnego zbadania stanu jego zdrowia i zdolności psychofizycznych. Ze człowiek ma tylko 5 klas szkoły powszechnej, a powinien mieć co najmniej 7. Ze egzamin na prawo jazdy zdał dopiero za czwartym razem, co powinno zwrócić uwagę komisji egzaminacyjnej, która wszak nie skierowała go przedtem na jakies uzupełniające badania psychologiczne czy w ogóle lekarskie. Ze on się w ogóle nie kwalifikował do prowadzenia pojazdów, a prawo jazdy otrzymał.
 Wydział Komunikacji odpowiedział, iż istnieje możliwość wydania prawa jazdy nawet absolwentowi 5 klas szkoły powszechnej, bo jest na to odpowiednie zarządzenie odpowiedniego resortu. Iż zarzut co do konieczności specjalnych badań w tym przypadku jest słuszny, ale źle zaadresowany. Zaświadczenie lekarskie otrzymał człowiek z Przechodni Rejonowej nr 1, więc PZMot miał prawo go szkolić, a Wydział Komunikacji wydać prawo jazdy. Iż wreszcie ocena zdolności psychofizycznych człowieka nie leży w kompetencji komisji egzaminacyjnej, ale znowu w pestii służby zdrowia. Więc o co chodzi?
 Ano o to, że jeśli nawet racja jest ze skandaliczną wprost niedbałością ze strony służ-

by zdrowia, to od urzędników wymaga się prócz poszanowania przepisów także poszanowania zdrowego rozsądku oraz że wysoka komisja egzaminacyjna gołym okiem mogła łatwo spostrzec, z jakim to kandydatem na kierowcę ma do czynienia.
 Jak widać — rozmaite mogą być reakcje na urzędowe notatki sądu ze strony zainteresowanych urzędów oraz instytucji. Najgorzej jednak, gdy nie ma reakcji w ogóle.
 Oto sądzono rajfurkę za czepianie koryzki z nierządu. Ona po prostu wynajmowała swoje mieszkanie, to znaczy melinę, za odpowiednią opłatą na odpowiednie cele. W sądzie się okazało, że jeden pokój wynajmowała też na stancję dwu uczniom szkoły średniej. Sąd wysłał do Inspektoratu Oświaty notatkę, żeby tych uczniów zabrał z meliny i otoczył specjalną opieką pedagogiczną. Notatka została wysłana 2 IX 1972 r. Do tej pory brak odpowiedzi i nie wiadomo nawet Inspektoratowi, gdzie ta notatka się znajduje!
 Art. 13 kodeksu postępowania karnego brzmi: „W razie stwierdzenia w toku postępowania poważnego uchybienia w czynności instytucji państwowej lub społecznej, a zwłaszcza gdy uchybienie to sprzyja popełnianiu przestępstw, sąd, prokuratura lub milicja obywatelska zawiadamia o uchybieniu tym organ powołany do nadzoru nad daną jednostką organizacyjną, a w razie potrzeby zawiadamia organ kontroli; organ zawiadamiający może żądać wyjaśnień co do stwierdzonego uchybienia.” Jest to zasadnicza podstawa prawna, na mocy której sąd wysyła owe notatki. I należałoby sobie życzyć, żeby sądy jak najszerszej korzystały z tego uprawnienia, choć to czasem stwarza im dodatkową robotę.
 Inna kwestia, że zacytowany artykuł kpk nie we wszystkim dla mnie jest jasny. Co znaczy „poważne uchybienie”? To zależałoby od uznania sądu, ale jednocześnie stwarza furteczkę, żeby się od dodatkowej roboty z notatkami uchylił. Co znaczy „zawiadamia”? Może, czy powinien? I dlaczego tylko „może żądać wyjaśnień”? Chyba raczej „powinien żądać wyjaśnień”? I jakimi sankcjami dysponuje, jeśli tych wyjaśnień nie ma?

POM

Listy do KAMENY

„Temat dla dzieci?”

W związku z publikacją „Temat dla dzieci?” zamieniamy list p. Anatoliusza Lis-Jamińskiego, byłego dyrektora szkol i licealnych i podstawowych w Lublinie i Jeronimie Górze, członka ZNP od 1945 r., który w latach 1947-50 był naczelnikiem Wydziału Kształcenia Nauczycieli Kuratorium Lubelskiego, słowem — człowieka o znacznym doświadczeniu zawodowym i życiowym.
 Czy należałyby publikować w prasie informacje o (jak to ostatnio zrobiono ze smutnym wydarzeniem, które miało miejsce w pewnej szkole lubelskiej) czynach czy sposobach zachowania się nauczycieli lub nauczycielki, noszących znamiona przestępstwa? Otóż bezstronnie, zupełnie obiektywnie odpowiadam: z „asady” — nie! Na marginesie tej wypowiedzi chciałbym zaznaczyć, że przed parą laty miały miejsce fakty nie tylko podważające informację o takim czy innym świecie osoby pełniące funkcje pedagogiczne, ale poważne skądinąd pismo codzienne podnie-

cało niemal pół strony na obszernie opisywanie owego faktu w wyszczególnionym tonie. Była to sensacja na całe miasto. Wtedy właśnie wysłałem do redakcji owej gazety artykuł, w którym protestowałem przeciw takiemu podejściu do sprawy. Niestety, — artykuł mój nie wydrukowano, gdyż tak rozumiał ktoś demokrację. Zajęte obecnie to podobnej kwestii przez „Kamena” stanowisko i uczucie do dialogu wzbudzić musi w czytelniku (nie tylko do środowiska nauczycielskim) zaufanie do pisma, które ma ambicję i odwagę być organem nie tylko wąskiego zespołu członków Komitetu redakcyjnego i swoich stałych korespondentów, ale właśnie szerokiego kręgu ludzi zainteresowanych faktem, czy innym społecznym problemem. Czytajmy więc „Kamena” i piszmy do niej!
 A teraz od rem. Dlaczego z zasady nie powinno się ogłaszać „młstwu i świątu” potknięć mniejszych, czy większych, które mogą się przydarzyć osobie pełniącej funkcję nauczyciela? Moim zdaniem dlatego, że nauczyciel jest z natury swego zawodu nie może występować wobec społeczności tych najmłodszych, których wychowuje, i ich rodziców, w roli przestępcy. Zjemy w czasach, w których nie tylko „Kamena” Mielniczaka trafiają „pod strzechy”. Dlatego do środków masowego przekazu mają dostęp wszyscy. Nawet jeśli ta gazeta nie dostalaby się do rąk młodzieży, wiadomość w niej wyczytana poruszy rodziców, stanie się tematem rozmów w domu i poza domem i nie jest rzeczą możliwą, by dzieci nie zostały w tę sprawę wciągnięte.
 Mimo wszelkich wysiłków unowocześniania szkoły przez stosowanie do procesów nauczania i wychowania adapterów, magnetofonów, radia, telewizji, filmów itp. — główna „pomoc naukowa”, jest i tak tak główna wyrazem, jest i porostaniem promotor twórczości, co ma charakter celowego, pedagogicznego dydaktycznego działania w szkole, czyli życia człowieka. W tym wypadku — jest to „nasza pani”. Mówi się i pisze dziś dużo o podniesieniu rangi nauczyciela. I to jest jakiś ważny w rozwoju naszej polskiej kultury i gospodarki problem. List dla tej sprawy zrobiły ostatnio nasze najwyższe władze państwowe i państwowe? Bardzo zawzięty-

byśmy ten problem, gdybyśmy jednak ograniczili go do strony materialnej (choć ma ona niebagatelną znaczenie). Myśliciel i reformator religijny odległych już czasów, Marcin Luter, wypowiedział takie zdanie: „Nie ma takiej góry złota, którą można by opłacić dobrego nauczyciela”. Lubie powoływać się na to zdanie, podkreślając ten przymiotnik „dobrego” (nauczyciela). Kontynuując myśl w tym zdaniu Lutera, można jeszcze wykrzesać, że nauczyciel może być tylko do dobry. Jeśli nie jest dobrym, albo przestaje być dobrym nauczycielem, w szeregach i podstawowym, w odniesieniu do funkcji zawodowej, jaką spełnia w społeczeństwie, znaczeniu, przestaje być w ogóle nauczycielem — wychowawcą, staje się antynauczycielem, antywychowawcą.
 I z tego punktu widzenia — nie może, nie powinien uczyć, nie powinien pracować w szkole: nie tylko w tej szkole, w której pracował dydaktyczną, przed popełnieniem dydaktycznego go czynu, ale w żadnej szkole. To jest — moim zdaniem — twarde prawo, z bezwzględnością której powinien zdawać sobie sprawę każdy nauczyciel, a przede wszystkim kandydat do zawodu nauczycielskiego. Tak wygląda rzecz od strony moralnej, od strony celowości i skuteczności oddziaływania pedagogicznego, bo ta strona, sądzę, nas w tym wypadku interesuje, ale są prawna.
 Dlatego i stanowiska prasowe wobec tego problemu nie jest proste, ani łatwe. Wyrażenie się na wstępnie moich wypowiedziach, że prasa nie powinna tego rodzaju rzeczy publikować z zasady. Są jednak wyjątki. Po prostu ze względu na dobro społeczne, które wymaga wyjaśnienia niektórych okoliczności danego faktu, spopularyzowanego już w pewnym środowisku szerymym, pora latami praktyki. Prasa może wtedy, albo i powinna, zabrać głos wyjaśniający wątpliwości. Ale w tym wypadku, jeśli prasa potwierdza sprzeczanie zadan nauczyciela wobec swoich poddawanych zadan, kompetentni czynnikii winni obwinionego nauczy-

ciele, niezależnie od innych konsekwencji prawnych, przeniesć na teren innego województwa — jeśli pewne okoliczności przemawiają za utrzymaniem go w tym zawodzie.
 Nie jest rzeczą obojętną, kto dostarczy prasie „meldunek” o tym, co zaszło w owej szkole. Jeśli uczynił to czynnik nadzoru pedagogicznego, to chyba w pełnej świadomości, że dana nauczycielka nie ma co do już robić nie tylko w tej szkole, ale w całym środowisku objętym kompetencją wojewódzkiej gazety codziennej, która tę wiadomość zamieściła.
 Czyż uzasadnionym może dość rygorystyczne stanowisko w tej przykrej sprawie? Tym przede wszystkim, że w wychowaniu młodego pokolenia, w procesie kształtowania charakteru i postaw moralnych odgrywa rolę pierwszorzędą osobistą przykład. Jeśli dziecko w czynach swego wychowawcy dopatry się sprzeczności z ideami, które z tytułu swej funkcji społecznej ustaje mu wreszcie, na nie zdążył się wszelkie najbardziej „wymyślne” środki i pomoce dydaktyczne. Mamy w tym wypadku do czynienia z tzw. „podcinaniem gałęzi, na której się siedzi”.
 Z uwagi na to, że prasa jest również nauczycielem i wychowawcą, nie tylko źródłem informacji, wydaje się rzeczą konieczną uprzednie dokładne zbadanie sprawy, nawet oczekanie do chwili pełnego rozważania się w niej czynnika nadzoru pedagogicznego i uwzględnienie subtelnych stron omawianego zjawiska.
 W danym konkretnym wypadku cała sprawa winna stać się przedmiotem szczególnej troski władz obywatelskich i zawodowej organizacji nauczycielskiej. I w tym kręgu, bez angażowania środków masowego przekazu, jakim jest prasa, należało ją zamknąć.
 Anatoliusz Lis-Jamiński
 Lublin

Innym tonem

W kontekście niektórych opublikowanych ostatnio w „Literaturze” esejów na temat lubelskiego środowiska kulturowego chciałbym zacytować zdanie Bogusława przystosowane do celnej wypowiedzi K. Markowskiego pt. „Sila placki i posępa do nosu” („Trybuna Ludu” 12.III.1972): „Kłopot polega na tym, że trzeba użyć tysięcy słów, żeby powiedzieć, że sprasowane zielenie słów kłamstwa”. (Artykuł ten dyktują redakcji „Literatury” i niektórym jej korespondentom).
 Ponieważ kłamstwo padło niejedno, słów potrzeba by wiele tysięcy. Czy warto? Zapewne warto by, bowiem niezwykłe skomplikowane i złożone problemy Lublina i Lubelszczyzny godno są czasu i więcej niż placki, donosić czy tenajęcego do nosu. Ale nie warto chyba odpowiadać na wszystkie kłamstwa punkt po punkcie. Kłamstwo ma krótkie nogi. Samo daleko nie zajdzie.
 Proponowałbym więc inną płaszczyznę i inny ton: rzeczować.
 Myślę, że do wyposiadania się na tematy Lublina i Lubelszczyzny mamy te skromne podstawy, które dają paroletnia współpraca i kontakty z selekcją ludzi i tematu miasta i regionu z selekcją oddanymi. (Dla informacji: dyrektorem teatru w Lublinie jestem sześć lat temu). Mam tu na myśli działalność, w tym urzędniczym pióru kultury, ale także nauczycieli, plastyków, pisarzy, dziennikarzy środowiska młodzieżowego. Równocześnie wiem, że miłośnicy sztuki i nie upowiadają się do diagnoz. Co najwyżej do próby wyrażenia swego zdania. A z takich próżni uczona być może ogólna refleksja nad tym niezwykłym czerpionym rozdziałem, które wywołują się w bardzo totem ludzkiej, z którym się stykam. Z jednej strony jest odpowiedzialność i jakieś ludzkie pragnienie spełnienia swego powołania i spełnienia siebie w tym powołaniu. W powołaniu do

NIKTORZE książki z literatury pięknej chętnie czyta się kilka razy. Do tego typu książek należy udany debiut powieściowy (nagrodzony I miejscem na ubiegłorocznym konkursie LSW, ZLP i ZMW) Józefa Łozińskiego „Chłopacka wysokość”.

z jabłkami w prawicy i poczułem się obrażony. Tak jest. Poczułem się, bracie, z chamacką upupioną. I to jest upupienie zbyt pospolite (...). Każdy syn chłopski zna wagę rzeczy i nie będzie darmo fantazjował. (s. 98-99). W powieści Łozińskiego „Chłopacka wysokość” istnieje bowiem nurt życiowego konfliktu, bardzo trzeźwego patrzenia na życie. Ujawnia się on w chwili, kiedy autor opisywaną rzeczywistość odbiera oczami bohatera chłopskiego pochodzenia (bez miejskiego dystansu w spojrzeniu na życie wsł), tzn. kiedy działają i wypowiadają się np. brat Alosia, młody gospodarz Franek Rzepa, jego żona Jaska, mechanik z kółka rolniczego Zajc, krzepka urzędniczka Wiska Syr, czy wreszcie niemłody już prezes kółka Furmanik.

W powieści istnieje drugi nurt, który nazywać by trzeba nurtem marzycielsko-sentymentalnego widzenia i oceniania rzeczywistości. Prezentuje go przede wszystkim narrator powieści, Alosia Rzepa, ale także, przebywający wcześniej w szkołach, nauczyciel ze wsi Hew, Tymek Dudzieli; w pewnym zaś stopniu Towarzysz Należny z pobliskiego powiatu i dawny kombatanat wojenny, a obecny urzędniczy, Pisarek. Nurt pierwszy buduje realistyczny plastyczny obraz życia, nurt drugi podąża za sobą przeciwstawiając je — poetycka tendencja i dopiero po dokonaniu tego rozróżnienia można szerzej mówić o podobieństwach i różnicach między prozą Łozińskiego a poetyckim światem powieściowym Nowaka, Kozioł i Stachury. Narrator a zarazem główny bohater „Chłopskiej wysokości” jest człowiekiem obdarzonym mocną wyobraźnią i posiada szlachetne, niemal „franciszkańskie” (jak u Stachury) walory człowieka prostego, prawego i kochającego „idealnie” w świecie brutalnych zachowań.

Przeciwieństwem Alosia marzyciela i życiowo niezaradnego człowieka jest jego młodszy brat Franek, który przejąwszy gospodarstwo po zmarłych rodzicach, czuje się pełnowartościowym producentem. Wypowiada się na zebraniach gromadzkich, dyskutuje z przedstawicielami władz powiatowych, usiłuje uintensyfikować produkcję, bo — jak za siebie i żonę stwierdza — chodzi nam o jak największe bogactwo w domu i po to harujemy od świtu do nocy. (str. 18).

Łoziński pisze nie tylko ładnie, ale usiłuje pisać prawdziwie, tzn. ukazywać rzeczywiste konflikty, które nurtują polską wieś, a w szczególności młode pokolenie, pokolenie wybierające dobrowolnie pracę na roli, bez zabobonnych uprzedzeń, z myślą o wzbogaceniu i polepszeniu „chłopackiej” egzystencji.

Tytułowe zaś określenie „chłopacka wysokość” to nic innego, jak chłopska arystokratyczna dostojałość, godność człowieka pracy o prostolinijnej moralności, to równocześnie rozsądna i trzeźwa miłość do ziemi. W tym względzie Łoziński potrafi wiele i oryginalnie mówić.

Tadeusz Polanowski

*) Józef Łoziński, „Chłopacka wysokość”. (Warszawa) I. S. W. 1972 str. 238, cena 16 zł.

Grid for the literary cipher puzzle with numbers 1-12 in columns and 13-24 in rows.

Na miejsce liczb w diagramie przenieść odpowiadające im litery z wyrazów pomocniczych. Tak uszeregowane litery dadzą fragment wiersza L. Staffa.

- Wyrazy pomocnicze: 71, 31, 83, 107, 17, 48, 5, 53 — jest najtrudniejszy; 64, 51, 58, 76 — ochoła; 1, 94, 24, 87, 113, 43, 25 — kobiecy atrybut; 31, 62, 86 — część nogi; 46, 114, 16, 32, 18, 40, 22, 6, 111 — człowiek pięci meskiej; 70, 148, 46, 109, 2, 73, 89 — przedni zab; 29, 75, 86, 34, 101, 42, 59 — postulat; 27, 74, 4, 29, 58, 81, 182, 115 — spadkobierca; 12, 19, 67, 53, 77, 32, 56 — mniejsza mewa; 106, 93, 7, 51, 25, 37, 119, 68, 54, 18 — roślina na wiatrobe; 79, 47, 103, 97, 88, 28 — progresja; 41, 28, 82, 49 — dzieło, praca; 30, 8, 3, 69 — lina mocująca statek do nabrzeża; 15, 21, 119, 61, 57 — muza pieśni miłosnej; 33, 72, 118 — basen do budowy i remontu statków

118, 185, 82, 43, 45 — pani Sopiłowa; 63, 104, 26, 59, 117, — miasto wojewódzkie; 9, 93, 13, 44, 36, 11 — kłótka; 69, 14, 85, 109 — plakata przy rwałkach Anhellego; 90, 23, 89, 28, 78, 69, 112 — rozmowa

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131 20-90 Lublin) Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy buny książkowe. Rozwiązaniem szyfrogramu z n-ru 4 była frazka Rodocia: Pod strumą górę pędzi nas życie Wspina się na nią talent i cnota Podnosi oczy — oho — na szczyty Siedzi już dawno zrzeczna miernota. Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 6 nagrody wylosowali: Edward Gąsior, Tarnów, ul. Skowronków 71B, Jerzy Freudenreich, Pomań, ul. Starołęcka 79 m. 1., Kazimierz Świdzki Słupsk, ul. Jaracza 31, Danuta Cholewińska, Lublin, ul. Kr. Leszczyńskiego 11 (Sp-nia INLEK)

Wyprawa do człowieczej jaskini

RZUT oka na wcześniejszą twórczość Józefa Wiesława Zięby każe urzec jego skłonności do „poezji zamyślonej”. Już w młodzieńczym tomiku „Wierność cieni”, wydanym w 1961 r. wspólnie ze St. Weremczukiem, znajdziemy słowa, które brzmią jak wyznanie wiary: Bo tylko mądrość pozostaje słupem / z tym samym wiecznym / spokojnym umiarem.

tunku podejmując wyprawę w odległą cześć / w jaskinię człowieka /, gdyż jest głęboko przekonany, iż przeszłość / jak sieć / jak statek / jako tratwa / przeciąga rękami krwi / kawalkami kry przepływa.

Pytanie „dokąd mamy jechać”, to nie jedyny problem, który nurtuje autora „Z dalekich wypraw”. Jego niepokój budzi również ulomność i niepewność ludzkiego poznania świata. Zbyt naiwnie ufamy nauce, nie dostrzegając jej wewnętrznych dramatów: i będziesz się cieszył / żeś dotarł do sedna / a to cień tylko / o ciebie się otarł. A w innym wierszu: nie / to nie to / tkanki budowa jest już dobrze znana / poza nią i wewnątrz / zostaje niewiedza.

Jadwiga Mizńska

*) Józef Wiesław Zięba: „Z dalekich wypraw”. Wydawnictwo Lubelskie, 1972.

„Pobrzeże” „Odgłosy” „Przyjaciółka”

Jubileusze

UKAZAŁ się właśnie 50 numer koszalińskiego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Pobrzeże”. W ciągu czterech lat na łamach pisma przewinęło się prawie 300 nazwisk współpracowników — głównie działaczy społecznych i pracowników, a także literatów i dziennikarzy.

Obu piśmom z okazji jubileuszu składamy serdeczne gratulacje. Jednocześnie dołączamy się do życzeń, jakie z okazji swego 25-lecia otrzymała redakcja najbardziej masowego pisma w Polsce — „Przyjaciółki”.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJCZAK, JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 28 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatów RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę w wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatów, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę za granicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-180 Warszawa, konto PKO 1-6-100054. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 4. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unieka 4.

Numer łamal MICZYSLAW PSUJEK. Adres redakcji: 20-018 Lublin, ul. Narutowicza 23. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 235-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-25

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-930 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji. L.Z.Grafi. Zam. 998, 1.IV.73, 1994, G-8

stąby sprawom kultury. Jest więc kulturowanie wartości ułotnych i zachowań delirantnych, rozwijanie zamitowań i nuchowości dotychczas sfery ideologii i duchowości człowieka, chęć niesienia pomocy w postaci tego, co w istocie swojej nie da się ująć nazwą, cyfrą i statystyką, a co rozszerza horyzont i co powiększa celność wewnętrznie. Z drugiej strony jest świadomość oporu, jaki przeciwstawia kultura chemistwo, uciążliwość — brutalność, wiedzy — obskurantizm obyczaju, nasytku, tradycji. Tak, wiemy bardzo dokładnie, że paramy się stępn świadomości i świadomości ludzi i że świadomość ta może zataczać podświadomości kształtowały dotąd czynniki różne od tych, które my próbujemy podsunąć.

uczestnik organizmu nowoczesnej Polski rodzi się właśnie dziś, na naszych oczach. W domu i na zewnątrz. Wzmagając zarówno produkcję rolną i poprzemysłową punkty życia na wsiach, jak powiększając i umacniając miasta i przemysł.

To są wszystkie właśnie PROCESY. Długotrwałe. I nikt z nas — ani redaktor „Kamena”, ani redaktor „Standardu Ludu”, ani dyrektor Filharmonii, ani Teatru, ani urzędnicy, ani działacze kultury — nie ma gotowych recept na rozwiązanie wszystkich piętrzących się problemów. Jednakże procesy zachodzących w naszym mieście i województwie jesteśmy świadkami. Staramy się w nich uczestniczyć. AKTYWNI. Tak, recept nie mamy. Lekarstwa staramy się natomiast WYPRACOWYWAĆ.

Kazimierz Braun

falsetem

Matura i ciapy

PEWIEN mój znajomy, który przyjmuje zakłady Turo-Lodka, zwierzał mi się ostatnio: „Ludzie mają jednak szczęście! Taki młody, matura zdaje w tym roku, trafił u mnie piątkę. Pobral pientądze i przez tydzień nie było go w szkole. Wszystkiego przepił z kolegami. A gdyby wyszła mu szóstką? Chyba maturę dałby by wzięli!”

Matura... Cud zdarza się raz, toteż opisany wyżej przypadek należy uznać za wyjątkowy. Na ogół młodzi ludzie kuja wytrwale, sypiają po kilka godzin na dobę i z utęsknieniem czekają na chwilę, gdy w ich rękach znajdzie się świadectwo dojrzałości. Kilka dni relaksu i wszystko zaczyna się od nowa: egzamin na wyższą uczelnię znów będzie im spędzać sen z powiek.

„Dyrektor jest zwolennikiem matury... Obecnie w Polsce po wprowadzeniu szeregu przepisów fa-

godzących maturę nie jest czymś dziwnym. Wypadki tłumaczy się psychologicznie i atmosferą, jaką najczęściej wprowadzają sami rodzice.

Nie należałoby jednak uznać maturę w czasie upałów. Trzeba by, wzorem niemieckich szkół, wyznaczyć egzamin dojrzałości na koniec roku.

A co mówią uczniowie? Oto głos jednego z nich:

„Pomyśl pan sam — teraz, w taki upał muszę kuć. Czy mogę pracować? Przecież trudno usiedzieć na miejscu, a co dopiero łamać sobie głowę nad zadaniami, powtarzać wiersze, czy zapamiętać kilkaset dat!”

Komentarz redakcji:

„Uczeń przeżył wszystkie klasy. Jego uzdolnienia, stopień inteligencji i suma wiedzy znana jest nauczycielom. Albo ma się do nich zaufanie i wtedy matura jest zbędna, albo się nie ma zaufania...”

Z jakiej gazety wybrałem ten cytat? Z „GŁOSU PORANNEGO”. Tak pisał „Głos” w czerwcu... 1933 roku, 33 lat temu. I kto teraz twierdzi, że słowa deaktualizują się?

A oto dwie inne opinie z tego samego okresu:

„GAZETA PORANNA”: Kto u kogo sprawdzi postępy w nauce, zasoby wiedzy i inteligencji? Nauczyciel u swego ucznia. Ten sam nauczyciel, który przez szereg lat miał z nim do czynienia, zdążył wychowanka poznać aż nadto dobrze, wyrobił sobie nie drwiny i potwierdzone, ale na gruncie obserwacji i znajomości rze-

czy oparty sąd o ucznia. Czy wobec tego jedna, ostatnia, podczas egzaminu wykonana praca pisemna — czy jedna, ostatnia, kwadrans trwająca rozmowa z uczniem może zmienić i obalić przez lata wyrobiony sąd o uczniu?”

„SŁOWO”: „Dość już niemałych bajek o niezwykłej okropności egzaminów naturalnych! Gdyby czas i energię rabudzieli, zużyte na przygotowanie „ściągawek” i pomysłowe ukrywanie „bryków” użyte na powtórzenie przerobionego kursu, każdy maturazysta (jeżeli tylko pracował w ciągu roku) mógłby się nie bac egzaminu... Ale tak już jest: w ciągu roku, a raczej w ciągu lat, jakos się pcha naprzód, aż w ostatniej chwili głowa nadzieja zaczyna się łączyć z podstępem!”

Jesteśmy w domu! Jeśli przypominam sobie poglądy, wyrażane na łamach prasy powojennej, nie są one zmienione! Matura miała i ma swoich zwolenników i oponentów. Wydaje się, że ci ostatni są dzisiaj górami...

A jednak, gdyby ktoś chciał wszystko, co pisano o kształceniu młodego obywatela, żywcem przepisać i jako swoje myśli podać, to... poparzyłby się okrutnie. Oto kolejny cytat, tym razem z „GŁOSU ŁÓDZKIEGO”: „W wypracowaniach szkolnych na temat „Czym chciałbyś być w życiu” ujawnia młodzież wyraźną tendencję do wyróżniania zawodów umysłowych, jak urzędnik, officer, ksiądz, sędzia itp., z zupełnym pominięciem zawodów, wymagających pracy fizycznej”.

Kto dzisiaj chce być urzędnikiem? A do niedawna kto chciał zostać nauczycielem?

„Ale... Nie mogę powstrzymać się od przyczynienia opinii. „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO”: Stosunki powojenne i brak szkół zawodowych wytworzyły stan tego rodzaju, że mało mamy dobrych rzemieślników, kupców, handlowców, których poszukują różne przedsiębiorstwa...”

Właśnie! Jak jest obecnie z handlowcami? Szkoły zawodowe wykształdziły sporą gromadkę ekspedientek, wiele jednak spośród nich poszukiwało innego zajęcia i na nadmiar sprzedawców raczej zarządek nie możemy, byłby jednak bardzo ciekaw, jak by wyglądała analiza kadr kierujących obrzydliwie słońca zapotrząsnia? Ili dyrektorów, kierowników jest w stanie wylegitymować się odpowiednim dokumentem?

Nie pytałym o to sędziym wczoraj nie poświęcił czterech godzin na poszukiwanie gotowego garnituru oznakowanego literką „C” i m. in. takimi liczbami jak 108 i 104. Ekspedientki bezradnie rozkładają ręce. Ba, niektóre spośród nich nie wiedziały nawet, jakie to „C” mam na myśli!

Garnitur to może rzeczywiście Mont Everest dla lubelskich handlowców. Ale dlaczego odpowiednie ci i s p y (po odpowiedniej cenie) znalazłem dopiero u prywacza?

Będę rad, jeżeli na te właśnie pytania odpowie mi kierownik Wydziału Handlu Przemysłu MHRN. Gotów jestem go ugościć małą czarumą!

MAJ



Rys. A. Stok

minuta myślenia

Ruciańskie świece

OSOBLIWEGO zajęcia jał się Józef Szczyпка w „Kierunkach”. Odsądziwszy krytykę literacką od obiektywizmu, sam dał przykład dziwacznych wyrokowania w sprawach literackich, tyle tylko, że nie w celach „kumoterskich” lecz delatorskich. Postanowił mianowicie „odbrawić” Galczyńskiego, w czym mu niewątpliwie brak poetyckiej wrażliwości nieocenione oddał usługi. Przeczytałismy w dniu kolejnych numerach (12-13) duże plachty pt. „Świeczki przed Galczyńskim”. Myślałby kto, że będzie coś z pozycji. Bogać tam. Mało brakowało, byśmy musieli przyjąć jako zarzut, że Galczyński miał upodobanie do beretów.

A więc zarzut pierwszy to ten, że Galczyński nie skończył podchorążówki. Szczyпка porwała sobie nawet na nazwę „dekonwink”. Porwała sobie nie krepując się względami nie tylko na dobre obyczaje, ale również na jakąś taką zborną logiczną publiczną wypowiedź. Kto to jest dekonwink? Członek jakiejś zbiorowości przed

pracą, przed wysiłkiem kryjący się za plecami kolegów, natomiast na równi z nimi startujący do przycielców. Galczyński swoje ekstrawagancje w podchorążówce przypisał odesianiem do pułku, gdzie służba trwała dwa razy dłużej i nie przynosiła stopnia oficerskiego łączącego się przecież z uprzywilejowaną pozycją w wojsku. Gdzie tu dek? Poza tym zarzut o niezbyt przychylnym stosunku do wojska, które wtedy było sanacyjne, co najmniej dziwne brzmi w ustach kogoś, kto taki sam zarzut czynił z nazbyt przychylnego stosunku do „Cyrulika Warszawskiego”, który również był sanacyjny. Niech się Szczyпка zdecyduje. Bo poeci Galczyńskiego i jako marudera i jako (rzekomego) przodownika w służbie dla sanacji.

Ta zdezcelowana już pukawka zarzutu współpracy z „Cyrulikiem”, czy „Prosto z Mostu”? Po latach Szczyпка ją znalazł i nie omisszał na nowo poprobowania hukku. Owszem, tę i ową postać z obzoru przeciwnego sanacji Galczyński przedstawił w świetle satyrycznym. Ale czy nie zauważyliśmy tej cechy satyry Galczyńskiego, która polega na operowaniu elementami humoru, śmieleszności, zabawy, a nie druzgocącej i zjadliwej ironii? I czy satyra, nawet ta polityczna, była w tym stopniu co dziś odcinkiem frontu ideologicznego? Jeśli tak, to zadziwiająco, jakim cudem ostali się autorzy noworocznego szopek politycznych i jak w ogóle było możliwe ich wystawianie. A czy Szczyпка nie wie, że Galczyński napisał parę satyrycznych wierszy, których obiektem był również Piłsudski? To samo z „Prosto z Mostu”. Warto przypomnieć, że drukowali tam np. Jerzy Andrzejewski, Jan Do-

braczyński, Jerzy Waldorff, którym „nikt” z tego powodu niczego nie wypomina. Dlaczego jeden Galczyński jest winien konsolidacji ONR? Ten straszny narodowy radykał jest zresztą autorem wiersza „Do Edwarda Szymańskiego” zamieszczonego w tomie wydanym przez ów tygodnik wprawdzie z opuszczeniem nazwiska, ale z realiami w tekście tak jednoznaczny, że nie mogło być wątpliwości co do adresu.

Ale coż znaczą fakty dla określonych intencji krytycznych. Szczyпка nawet „Inge Bartsch” obraca przeciw Galczyńskiemu. Czyni to niemal odpowiedzialnym za to, że w roku 1933 nie przewodził Oświęcimiu i Majdanku. Jakże ten liryczny wiersz mógł nie poruszyć grozy narastającego brunatnego niebezpieczeństwa! W dodatku — kiedy Inge Bartsch jest postacią fikcyjną, a nie rzeczywistością ofiarą zbrodni hitlerowskich, więc kondycję społeczną bohaterki mógł sobie autor ustawić dowolnie. W wierszu „Ulica szariatowa” to wiersze bluźniercze? A „Wileńskie Imbroglino” to riposta na nastroje anty-rdzędzkie? Dużo polityki przynajmniej Szczyпка temu poecie. Zdaje się nie wiedzieć, czy nie wie rzeczywiście, o właściwościach stylu tego autora, który tekst swoich utworów komponował w swobodnym kluczu metaforycznym, niezmierzającym do odebrania bez pewnych dyspozycji wyobraźniowych. Jak od-

czyta Boga popijającego wino w „Piosence o trzech wesołych aniołach”, „świata pochmurne” w „Wielkanocy Jana Sebastiana Bacha”, „Ale wróćmy do „Inge”. Galczyński spróbuj stanowisko „grubasa, co siedział przy piwie”, który nawet nie drgnął, bo „takie pliki to się mogło zabić najwyżej dziecko”? Czy w tym passusie o obzie mimo całej jego — pozornej! — niefrasobliwości nie widać zagrożenia? W takim razie Borowski był apologetą kacatów.

Ala rekord interpretacji osiąga Szczyпка przy „Lisicie do krawca Teofila”. Dowiadujemy się, że Galczyński za najmilszą zajęcia uważał przesuwanie „Mammony” przez palce. Nie spostrzegła, zresztą nie on sam jeden, że aproba do dobrego rzemieślnika jest przede wszystkim wyrazem stanowiska polemicznego w stosunku do rozpowszechnionej artystycznej łatwizny, że odwołanie się do odbiorcy jest chęcią obrony wartości wobec zawrotnego i często kotaryżnego piewa profesjonalnej krytyki. Między innymi tak.

Swój longplay pomyłek i deformacji nazwał Szczyпка przewrotnie „Świeczki przed Galczyńskim”. Ze niby nie dla holdu, ale dla nowego światła. Niestety, światła nie mamy. Te świeceki kopca. Jak kupione przez Galczyńskiego w miejscowości kuciana, o czym sam doniósł w znanym humorystycznym wierszu.

Ijon

Odpowiedzi redakcji

M. P. Lublin. Jak się ma 13 lat, nie zna się wielu obcych wyrazów. Kiedy poma się wyraz np. „parafraza”, powstaje przekonanie, że przybyło coś do znajomości języka, a więc do kultury literackiej, a więc do umiejętności poetyckich. I tę „parafrazę” umieszcza się w wierszu. Wychodzi z tego sztuczność taka, jak np. kiedy dziewczyna wkłada na siebie moher w czerwcu po to, aby pokazać, że ma tę część garderoby. Całe szczęście, że z tego się wyrasta. Tylko do tego potrzeba cierpliwości i pracy, do których właśnie gorąco namawiamy.

R. K. Jaworzna. Wydaje się nam, że zbyt Pan upraszcza obrazowanie. Mamy wrażenie, że ułatwia Pan sobie zadanie rysując skrotami nie w znaczeniu syntez, ale w znaczeniu eliminacji niektórych niezbędnych elementów. W ten sposób powstaje luz, słowo niby przystaje do rzeczy, ale nie nabrzy szczerline. Proponujemy popracować nad większą adekwatnością wyrazu. W wierszu „Klucze” jest parę śmiałych sformułowań, którym udało się uniknąć tego mankamentu. Zatrzymujemy go w tece i z czasem zechcemy go przyodziać w garnitur druku.

A. C. Tarnobrzeg. Musimy przyznać, że nie pozostała bez wrażenia na nas spokojna liryczność panich wierszy jakby z dalekim pogłosem strofy Broniewskiego. Jest w nich sporo udanych powiedzeń. Cóż jednak z tego, skoro sąsiadują ze zwrótkami zbanalizowanymi, utraconymi, psującymi efekt. Np.: „Poszukuję dziewczyny o twarzy anioła, o wdzięku Afrodydy i sercu poety”. Czy to nie gadulstwo? W jednym wyrazie „dziewczyna” to wszystko już tkwi, podane przez autora jest powtórzeniem oczywistości. W tym miejscu wiersz dawał się, jak motor toż używa w rozmowie babela z ciocia. Powie Pan, że nie na poszczególnym słowie opiera się wartość wiersza, Racja. Nie trafność terminologiczna jest siłą poezji. Ale samo słowo, sam zwrot w tym typie poezji nie będąc w stanie dodać jej skrzydeł (czyli się cała suma elementów — obrazowanie, rytm, aluzja...) kiedy są poprawne, z całym powodzeniem hamują jej ruch, kiedy są nierudane. Cóż, łańcuch jest tak silny, jak najsłabsze jego ogniwo.

K. K. Lublin. Nie możemy odmówić trafności pewnych spostrzeżeń, nawet oryginalności sformułowań, ale też nie całkowicie tym wartyżnik zostaliśmy przekonani, jeśli mamy to przyjąć od strony poetyckiej. Może że za mało kondensacji? Przyznamy się, że nie wiemy, a niecenna rada nie chcielibyśmy narazić Pani na przeszkodę w poszukiwaniu własnego wyrazu. Radzimy trochę jeszcze poczekać, a tym pewnością będzie start, który z pewnością rychło nastąpi.

H. R. Chelm. Niech Pani nigdy nie pisze takich wierszy, jak „To nie Ewa zgrzeszyła”. Sama Pani ponumerowała linijki. Na 122 nie jest powiedziane nic. Jeśli Panią poezja interesuje, radzimy próbować z tej pozycji, na której znajdują się inne utwory zawarte w przyszłym. Ale nie wiążącego jeszcze nie możemy powiedzieć.

Z. N. Nie możemy Panu odpisać listownie, ponieważ nie podał Pan adresu, a nazwisko znać chyba wypada za pseudonim. Również nie możemy zwrócić uwagi na publikowanie opinii czytelników o zbiorze wierszy w formie listu do redakcji, a pańska wypowiedź recenzja nie jest, ani być nią nie zamierza. To oczywiście nie oznacza, że odmiawiamy Panu prawną za zdecydowanie odosobniony. Tak się rozwarstwiły pojęcia „poglądy, kryteria...” W każdym razie dziękujemy za żywy wyraz zainteresowania, a w przyszłości merytoryczną i wnikliwą dyskusję na temat współczesnej poezji uważamy za konieczną do podjęcia w młodym środowisku literackim.

H. D. Międzyrzec Podlaski. Nie, nie naplemy o braku talentu. Warto pisać. Z tej maki będzie chleb. Trzeba się tylko pozbryłać dość sztucznych, mechanicznych, utkanie wiersza zastępując aktualną prozą, jak np.: „możliwość dopasować do ideału treści aktualnej”. O leć lepiej się słyszy coś takiego: „Cech ukieknął przed tą chwilą, kiedy wstąpiłam na odnoże światła”. Te dwa sformułowania należą do różnych towarzyszy. Nie wolno do wiersza wpakować intruza, bo skomponujemy całe grono. Umówmy się: upłynię jeszcze trochę wody w Krznie i w Bystrzycy, a my otrzymamy nową przesytkę wierszy. Zgodą?

Z. C. Lublin. Przepraszamy za szorstką szczerością, ale musimy stwierdzić, że nie tędy droga do dobrych wierszy. Proszę przyrzyć się bliżej: „z drzew spada złoto, które śnieg przyprószy”, a „z oka spłyne tęskna łza”. Ile już razy to czytaliśmy? Owszem, każde ludzkie uczucie jest nowe, ale leź słów o uczuciu jest zużytych! Wystrzegaj się ich to pierwszy obowiązek piszącego wiersza. Czy można wyrazić siebie powtarzając kogoś?

po chwili przechodzi. Zostawmy na razie pannę Zuzannę samą.

— A my?

— A my pójdziemy na dół i wypijemy kawę. Zadowolimy tu na klamce kartkę. Panna Zuzanna uspokoi się i zapewne do nas dołączy.

Mariusz wahał się. Nie wstąpił, jak postąpił. Nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji. Basia wzięła go pod rękę.

— Chodź, ołtasz. Wszystko będzie dobrze! — Przechyliła się i dotknęła ustami jego policzka.

— No chodź, Basia pros!

Zamówił po kawie i po ciastku, ale rozmowa zupełnie się nie kleiła. Mariusz co chwila spoglądał na zegarek. Basia siedziała pod ścianą, miała widok na całą salę i na hotelowy hall. W pełnym momencie zauważyła w nim Zuzannę, gdy to oddawała klucz w portierni. Nie data jednak niczego poznać po sobie.

Gdy minęło jeszcze pół godziny, sama zaproponowała, żeby przejść na górę i zobaczyć, co robi Zuzanna. Mariusz skuszył się skoryzwać z tej propozycji.

Na klamce w drzwiach prowadzących do pokoju Zuzanny nadal wisiała jego kartka, w której prosił, by zeszła na dół. Jego słowa były przekreślone czerwonym ołówkiem. Zuzanna dopisała na kartce: „Wyjeżdżam. A Basia jest tą dziewczyną”.

— Widział, jeszcze śmie mnie oczerniał przed tobą! Nie sądziłam, że masz takie przetrwane koleżanki! — Basia wdała idenerwowaniu. — Mówiłam ci, że nie warto zwracać sobie głowy byle watką.

— Basiu, nie mów tak!

— Zdaje się, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Robisz mi wielką przykrość. Nie wiem, po co ja Robisz przyjechałam? Gdybym wiedziała, że tak będzie, uolałabym zostać w domu. Sądzę, że ty również byłbyś wówczas zadowolony.

— Basiu!

— Tak, mam rację. Ale to wyłącznie moja wina. Nie powinniśmy ci się narzucać. Najlepiej będzie, jeśli się teraz rozstaniemy. To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

— Basiu, jak możesz...

— Bo ty mnie nie, ani nie nie kochasz.

Mariusz popląnął ją do swego pokoju. Przez chwilę się opierała, a raczej udawała, że się opiera. Gdy znalazła się w czterech ścianach, przywarła do niego gwałtownie całym ciałem, ale równie gwałtownie odsunęła się, gdy z ust jego padło pytanie:

— Nie wiesz, o której odeszłaś pojechać?

— Biegny szybko, może jeszcze zdążysz do swojej Zuzanny.

— Basiu, naprawdę nie mogę, ale bardzo mi odepłio, że tak wyszło. Przecież ja jestem za nią odpowiedzialny!

— Każdy jest odpowiedzialny tylko za siebie. A jeśli tak bardzo ci na niej zależy, jeśli tak się zamartwiasz, to nie będe tu ani minuty dłużej.

Podeszła do drzwi, na tyle wolno, aby mógł ją zatrzymać w połowie drogi.

(dcm)

Noty i notki

Księgarnia lubelskiego Klubu MPIK co kwartał przeprowadza — jak każde szanujące się przedsiębiorstwo — remanent. Ze względu na dużą ilość tytułów książek i płyt trwa to z reguły cały tydzień. Jeżeli nie można przyspieszyć terminu w całej księgarni, to warto chyba skrócić go w wydziale gazet i czasopism. Po tygodniu bowiem posiadacze teczek jeżeli nie chcą utracić tego przywileju — muszą kupować makulaturę, płacąc za nią jak za aktualne pisma.

W obszernej informacji o pracy poczty, zamieszczonej w kilku stołecznych dziennikach, przeczytałem, że w Lublinie korespondencja jest doręczana adresatom dwa razy dziennie. Szkoda, że ani ja ani moja redakcja nie możemy tego potwierdzić w praktyce. Natomiast z praktyki wiem, że paczki nadawane w Lublinie na ten sam adres we Wrocławiu, w tym samym urzędzie i o tej samej godzinie, raz wędrują tylko jedną dobę, innym razem trzy. A numer kodu jest zawsze.

Centrala Produktów Naftowych w Lublinie ogłosiła konkurs i nagrodami na wskazanie miejsca, najlepiej nadającego się na zainstalowanie stacji benzynowych. No cóż — miejsca wskazane można, rzecz tylko w tym, czy owe miejsca nie mają już innego przeznaczenia, o czym zwykli śmiełkowie wiedzieć nie mogą. No i kto otrzyma nagrodę; ten kto wskazał dobrą, ale niemożliwą do realizacji lokalizację, czy ten, kto wskazał podłą, ale możliwą?

Poza IBIS-em w „Życiu Warszawy” już rzadko kto wojuje w naszej prasie o czystość języka. Prawidłowe używanie słów itp. Ostatnio zdarzyło się to jednak Waleremu Piaskowski, który w „Trybunie Ludu” (nr 96) zamieścił felieton na temat przymiotnika „zjadliwy”. Przytaczając przykład jego nieprawidłowego użycia np. w zdaniu: „Moja zupa była całkiem zjadliwa” — Piaskerek konkluduje: „Zjadliwy — to ten, który nas zjada, a nie ten, który nam się da zjeść. Zjadliwy lis jest naprawdę niejadłymi”. Ejże! — W czasie wojny karmiono nas w obozie jenieckim w Doblegiewiczu autentycznymi lisami srebrnymi, które po kilkukrotnym wygotowaniu nadawały się do konsumpcji!

Już wiem, dlaczego „Forum” publikuje systematycznie na ostatniej stronie najbardziej „seksy” fotografie. Proszę spojrzeć na stopkę i policzyć, kto „bierze udział w opracowaniu numeru”; trzynastu kobiet i dziesięciu mężczyzn. A kobiety lubią mówić, że „mężczyźni to świntuchy”.

JOD

Waleria Sulima

smak miłości i łez

ROSTKI KAWY PRZESYLANE

Autorka „Smaku miłości i łez” przyznaje, że czuje się nieco nieswojo: jeden z czołowych reportażystów polskich stwierdził na łamach „Argumentów”, że drukowana w autonomicznej rubryce „Kamień” — „Poste Restante” powiadać w odcinkach stała się mąką. A więc nie tylko młodzież sięga do kryniek wielkiej miłości, ale i starsi, którzy już z niedojnego pieca chleb jedli, podążają do ożywczych źródeł. To cieszy, lecz i nakłada większe obowiązki kulinarno-pisarskie...

(13)

— Nie, nigdzie nie pójdą — zawołała Zuzanna.

— Wracam dzisiaj z Łowrotem. A wam a samą zyczą przyjemnej zabawy! — Nie mogła zahamować

lez. Wyglądała jak małe, rozkapryśzone dziecko, któremu zabrano zabawkę.

— Co tu się stało? — Z twarzą Mariusza zniknął uśmiech. — Basiu, czy ty zrobiła Zusi jakąś krzywdę?

— Ale skądże znou! Panna Zuzia zdenerwowała się, że radio popuste. Wolałaby tutaj zostać niż iść teraz do miasta. Ale myśle, że uda nam się przekonać tuoją koleżankę...

— Basie, jaka pani jest podła, podła! — Zuzanna nie mogła się powstrzymać od wyrażenia tego, co myśli, co ją boli. To, co przed chwilą zaszło między nią, a Basia, było tak niespodziewane, jak cios zadany zniemaczu w samo serce.

Trzasnęła mocno drzwiami i wybiegła na korytarz. Mariusz bez namysłu rzucił się za nią w pośpiechu, ale nie zdążył: Zuzanna znalazła się w swoim pokoju i przekreśliła klucz w zamku.

— Zuziu otwórz!

Cisza.

— Zuziu, bardzo cię proszę... Nadaj cisza.

— Zuziu, Kochana...

— Kochana! O, widzę, że ja tu jestem zupełnie niepotrzebna! — Basia nagle znalazła się obok Mariusza. — Nie sądzę, że między wami sprawa jest aż tak poważna!

— Basiu, Basiu, powiedz, co się dzieje? Ja nie z tego wszystkiego nie rozumiem. Chciałem, by było między nami miłość, a stało się coś, czego zupełnie nie mogę pojąć. Dlaczego się pokłóciły?

— Nikt się nie pokłócił. Nie znasz dziewczęcy? Czasami mówimy takie czy inne humory, ale wszystko